CENA 2 ZŁ

LUBLIN BIAŁYSTOK KIELCE RZESZÓW

Kamena

LUBLIN 30.XI.1967 Nr 22 (379) R. XXXIV DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY Wychodzi od 1933 r.

W 70 rocznicę urodzin KAZIMIERZA ANDRZEJA JAWORSKIEGO założyciela „Kameny", poety, tłumacza i wychowawcy

Kazimierz Andrzej JAWORSKI
LUBLIN

Szanowny i Drogi Jubilacie!

Z okazji siedemdziesiątej rocznicy urodzin i zbliżającego się pięćdziesięciolecia działalności literackiej i społecznej — proszę przyjąć od Egzekutywy KW PZPR w Lublinie serdeczne gratulacje i życzenia dalszych osiągnięć twórczych.

Proszę również przyjąć najszczersze słowa uznania i szacunku. Społeczeństwo województwa lubelskiego zawsze wysoko ceniło i ceni Pański wkład do skarbca kultury naszego regionu i naszego kraju. Wkład poety, pisarza, założyciela i niestrudzonego redaktora „Kameny". Wkład tłumacza literatur słowiańskich, który wspaniałymi przekładami udostępnił społeczeństwu polskiemu twórczość takich pisarzy jak: Jesienin, Błok, Majakowski, Paustowski, Tyczyna, Tank. Wkład pedagoga, który wszczepił młodzieży nie tylko umiłowanie ojczystego języka i ojczystej literatury, lecz również umiłowanie idei demokracji, sprawiedliwości i postępu.

Jeszcze raz proszę przyjąć nasze serdeczne życzenia długich lat życia, zdrowia i wszelkiej pomyślności.

Za Egzekutywę KW PZPR
w Lublinie
WŁADYSŁAW KOZDRA
I SEKRETARZ

Wielce Szanownemu i Drogiemu Jubilatowi, Koledze Kazimierzowi Andrzejowi Jaworskiemu, gratulacje i gorące podziękowanie za Jego wieloletni trud redaktorski, poetycki i przekładowy, najserdeczniejsze życzenia długich lat w zdrowiu i pomyślności oraz dalszych świetnych osiągnięć artystycznych przesyła — w imieniu Zarządu Głównego Związku Literatów Polskich

JAROSŁAW IWASZKIEWICZ

Serce me stare, czemu ci tak młodo?
Bijesz posłuszne majowej batucie
radosny werbel kwitnącym ogrodom,
wtórujesz ptaków uskrzydlonej nucie.

Głowo gorąca, przecież jesteś srebrna,
chłód i rozsądek przystałby ci raczej,
a ty pić pragniesz z wiosennego cebra,
jakbyś bieg czasu chciała przeinaczyć.

Nie wiem – rok jeden, dziesięć lat czy więcej
czeka mnie jeszcze do drogi mej końca,
lecz póki żyję, będę wznosił ręce
w zachwycie modląc się do gór i słońca.

K. Jaworski

SPORT A ETYKA

Dyskusja z działaczami sportowymi

15 kwietnia 1966 r. ukazał się w „Kamenie" pierwszy artykuł na tematy związane ze sportem — „Lublin goła" Romualda Wiśniewskiego ,dokładnie miesiąc później „Białystok — sportowe przedszkole" Pawła Kowalskiego. W roku bieżącym ukazały się trzy artykuły: 30 czerwca „Mistrz pięści i pięść mistrza" Jerzego Dostatniego, 15 lipca „Dwa awanse Stachurskiego" R. Wiśniewskiego oraz 15 sierpnia „Sport to nie tabu" J. Dostatniego. Przytaczając konkretne fakty, autorzy zastanawiali się przede wszystkim nad zagadnieniem etyki wśród zawodników i działaczy.

W związku z dużym rezonansem, jaki wywołały te artykuły, redakcja „Kameny" oraz Wojewódzki Komitet Kultury Fizycznej i Turystyki zorganizowały w dniu 31 października dyskusję z działaczami sportowymi — etatowymi i społecznymi. W dyskusji wzięli udział: JERZY FORYSIAK — przewodniczący WKKFiT w Lublinie, TADEUSZ GAŃSKI — redaktor sportowy „Kuriera Lubelskiego", ANDRZEJ KRYCHOWSKI — trener Okręgowego Związku Lekkiej Atletyki, ALEKSANDER ŁUCKIEWICZ — trener Okr. Związku Kolarskiego, MIECZYSŁAW NIEWIADOMSKI — instruktor KW PZPR, JERZY PAWŁOWSKI — przewodniczący Miejskiego KKFiT, JANUSZ POPŁAWSKI — wiceprzewodniczący WKKFiT, BOLESŁAW SALAMON — sekretarz zarządu klubu sportowego „Motor", KAROL SZCZOTKA — członek zarządu klubu sportowego „Avia", MIROSŁAW TUCEWICZ — kierownik Woj. Zespołu Metodycznego przy WKKFiT, ANDRZEJ WAWRZYCKI — redaktor sportowy „Sztandaru Ludu", MARIAN WINIARZ — przewodniczący Pow. KKFiT w Lublinie, HONORAT WIŚNIEWSKI — trener OZLA, mjr JÓZEF WIŚNIEWSKI — sekretarz zarządu klubu sportowego „Lublinianka", MIKOŁAJ ZIELIŃSKI — WKZZ, MIECZYSŁAW ZIEMIŃSKI — prezes zarządu klubu sportowego „Avia". Redakcję „Kameny" reprezentowali: red. JERZY DOSTATNI i red. ROMUALD WIŚNIEWSKI. Oto w streszczeniu relacja z dyskusji.

Mjr Wiśniewski: — Jaki był cel zamieszczania takich artykułów? Inteligencja, która głównie czyta „Kamenę", może sobie wyrobić złą opinię o lubelskim sporcie. Piszecie tylko o ciemnych stronach, nadajecie im sensacyjno-kryminalny charakter, a przecież jasnych stron jest znacznie więcej. Ale proponuję ograniczyć się tylko do spraw etyczno-moralnych.

Mgr Pawłowski: — Środowisko lubelskie liczy 30—35 tysięcy ćwiczących, w tym 10 tysięcy stale i systematycznie. Działaczy mamy ok. 3 tysięcy. Środowisko sportowe nie jest więc wyobcowane ze społeczeństwa, ma takie same plusy i minusy, jak środowisko handlowe, gospodarcze czy twórcze. I tu i tam są ludzie nieskazitelni, wzorowi, ale i tacy, którzy szukają sławy czy innych korzyści. Byłbym się powiedzieć, że wśród tych 35 tysięcy jest nawet 1 procent ludzi, którzy nie tylko źle działają, ale i źle oddziałują na innych. Czy tych 300 osób, w różny sposób psujących atmosferę w środowisku sportowym, to tak dużo? Na ogół my wszyscy na takie wypadki reagujemy szybko, chociaż czasem zdarza się, że nie, gdy to jest podyktowane koniecznością wystawienia właśnie określonego zawodnika. Większość artykułów „Kameny" była słuszna, ale sformułowania nie zawsze szczęśliwe, chociaż tu możemy mieć różne zdania. Ale stanowczo twierdzę, że nie można powiedzieć, iż całe środowisko jest złe.

Przew. Forysiak: — Sport jest formą dobrowolnego zrzeszania się. Ma prawo korzystać z niego i ten, kto wszedł w kolizję z prawem. Jeżeli w klubie jest odpowiednia dyscyplina, w zasadzie każdy będzie dobrym zawodnikiem. Stawiając sprawy moralno-etyczne musimy pamiętać o ważniejszej roli domu, szkoły, zakładu pracy. Był czas, że kluby uruchamiały własne świetlice, jedni do nich przychodzili, drudzy nie. Jeżeli działacze, trenerzy i zawodnicy razem piją, to, oczywiście, jest zło krańcowe, trzeba wszystkich zwolnić. Mówił red. Dostatni, że w drugiej drużynie bokserskiej „Motoru" większość zawodników weszła w kolizję z prawem. Ale jeżeli po realizacji kary państwo im wybaczyło, my też musimy to zrobić. Chyba, że systematycznie robią to dalej. W naszym kolarstwie jest zasada, że jeżeli zawodnik coś sknocił, nie dostaje nowego sprzętu. No i atmosfera jest bardzo dobra. Natomiast w piłce nożnej dużą rolę odgrywa czynnik ekonomiczny. Zawodnikom płacimy, więc mamy prawo wymagać. „Lublinianka" spadła z II ligi, miała rzeczywiście część importowanych pseudo-gwiazd. Teraz klub dobrze pracuje i wychowuje zawodników, będzie z nich pociecha. Ale jak w całym kraju i u nas jest kilku zawodników, którzy nie chcą nad sobą pracować.

Red. Dostatni: — Czy dla zdobycia kilku punktów warto ich tolerować?

Mjr Wiśniewski: — Właśnie to problem!

Przew. Forysiak: — Góralska nie pojechała na Spartakiadę z błahych powodów i będzie ukarana. Ale byli zawodnicy, którzy i na tej Spartakiadzie i na innych zawodach płaczą po przegranej. Lecz jakoś łatwiej pisać o złych sprawach.

Mjr Wiśniewski: — Zawodowcowi płaci się odpowiednio i dlatego można od niego wiele wymagać. U nas, niestety, nie płaci się, bo te sumy, które dostają zawodnicy w niektórych dyscyplinach, wystarczają na tabliczkę czekolady dziennie, co nie pokrywa dodatkowego zużycia kalorii. Młodemu człowiekowi sport stawia wiele hamulców — dyscyplina, abstynencja, spanie zamiast kina czy randki. I wtedy rodzą się konflikty, na które znacznie łatwiej reagować w szkole niż w klubie, chociaż u nas w zarządzie są i pedagodzy, i finansiści, i nawet prokurator. Takie sprawy, jak „mistrza pięści" (a cały Lublin wiedział o kogo chodziło), zdarzają się wszędzie. W Poznaniu postanowiono w takich wypadkach reagować bardzo ostro. Wynik? Poznań był kiedyś potęgą w boksie i lekkiej atletyce, a dzisiaj? W pierwszej drużynie piłkarskiej „Lublinianki" nie mamy chłopca, który by się nie uczył — dwóch ma wyższe wykształcenie, 8 — średnie, pozostali uzupełniają. Ale czy wszyscy młodzi ludzie, chodzi mi nie tylko o naszych zawodników, mają predyspozycje, aby równocześnie pracować, uczyć się, troszczyć o rodzinę i jeszcze uprawiać sport wyczynowo? Na jednym treningu piłkarskim traci się 800 gramów na wadze. Trzeba także dodać, że obecnie zakłady pracy nie chętnie przyjmują sportowców, ba — czasem są nawet oni dyskryminowani. Red. Wiśniewski ubolewał, że „Lublinianka" spadła z II ligi, że miasto ma do nas pretensje. A my właśnie postępujemy od pewnego czasu tak, jak pan pisał w

(Dokończenie na str. 5)

Literatura

☆ W latach powojennych ukazało się w Polsce ok. 9 tys. tytułów przekładów książek autorów radzieckich, w tym 3200 pozycji z zakresu literatury pięknej. Np. utwory Maksyma Gorkiego osiągnęły w Polsce przeszło 100 wydań w łącznym nakładzie przekraczającym 2 200 tys. egz. Utwory Włodzimierza Majakowskiego doczekały się 30 wydań w nakładzie 500 tys. egz., a dzieła Aleksego Tołstoja miały 40 wydań w 800 tys. egz. W tym samym okresie przetłumaczono i wydano w ZSRR 1100 książek autorów polskich w 22 językach narodów ZSRR.

☆ Nowe dane wyjaśniające genezę ogłoszonego w 1966 r. „Snu o szpadzie" Stefana Żeromskiego znaleziono podczas prac komisji historyczno - literackiej Krakowskiego Oddziału PAN, badającej odnalezione po wojnie resztki notatnika pisarza. Wśród zapisów znalazły się dwa niedokończone utwory, z których jeden stanowił odezwę do narodu napisaną na wiosnę 1905 r. Pisarz przedstawia w nim konieczność zbrojnego wystąpienia o niepodległość kraju i zwalcza gwałtownie ugodowe stanowisko ówczesnej publicystyki, reprezentowanej m. in. przez „Czas". Te właśnie ustępy odezwy uległy przetworzeniu i zostały przez autora wydane w oddzielnym utworze pt. „Sen o szpadzie".

☆ Zbany poeta, satyryk i tłumacz, Włodzimierz Słobodnik, (długoletni współpracownik „Kameny"), obchodzi jubileusz 40-lecia pracy pisarskiej. W PIW ukazał się z tej okazji tomik nowych jego wierszy lirycznych „Róża światła". Jest to od pierwszego debiutanckiego zbioru wierszy „Modlitwa o słowo" wydanego w 1927 r. — dwudziesty pierwszy tom liryków Słobodnika. Do 1939 r. ukazały się m. in. zbiory: „Cień skrzypka", „Nowa muza", „Spacer nad Wisłą", „Pamięci matki", „Niepokój wiosenny". Pierwszym zbiorem wydanym po wojnie (1946 r.) był „Dom w Ferganie".

☆ Ministerstwo Kultury oraz Związek Literatów Polskich ogłosiły konkurs otwarty na utwór poetycki związany z olimpiadą w Meksyku. Utwór powinien propagować ideę międzynarodowej przyjaźni wśród młodzieży i wzajemnego zrozumienia wśród narodów. Prace należy nadsyłać do 1 stycznia pod adresem ZLP, Warszawa, ul. Krakowskie Przedmieście 87/89.

☆ W samym tylko październiku wydano w Polsce 451 tytułów książkowych o nakładzie 8,5 mln egzemplarzy (w tym 2,5 mln podręczniki szkolne). M. in. wznowiono lektury szkolne „Nad Niemnem", „Krzyżacy", „Poezje wybrane" K. Baczyńskiego oraz „Troska i pieśń" W. Broniewskiego.

☆ W 200-tomowej „Bibliotece Literatury Światowej", publikowanej w Moskwie, ukaże się 100 tys. wierszy z eposu kirgiskiego „Manas". Jest to największy w świecie epos wierszowany. Poemat zawiera wszystkie starożytne legendy kirgiskie, mity, przypowieści, dotyczące życia i czynów bohatera kirgiskiego Manasa i jego potomków. „Manas" sięga początkami VIII—X w., w następnych wiekach stale się wzbogacał i rozszerzał, stając się historią narodu kirgiskiego na przestrzeni tysiąclecia. Epos „Manas" przechowywany w Kirgiskiej Akademii Nauk osiągnął już 4 miliony wierszy.

☆ Ostatni utwór Juliusza Verne „Tajemnica Wilhelma Storitza" jest bardzo mało znany i wielu krytyków sądzi, że nie został on przez autora skończony. Ostatnio wystawiono go w Paryżu na scenie teatru dramatycznego. Jest to jeden z bardzo rzadkich utworów Verne'a, w którym toczy się wątek miłosny.

☆ Tzw. Grand Prix czarnego humoru we Francji przyznano pisarzowi Herve Bazin za jego zbiór felietonów, atakujących... zasady gramatyki. Sam autor był tym bardzo zaziwiony.

☆ „W prowincji Quebec mamy tylko kilku literatów i nic dziwnego, że każdą nową książkę jest natychmiast obowiązkowo czytana w szkołach" — oświadczył Jacques Godbout, który właśnie wydał swoją trzecią powieść „Salut Galarneau" i który jest uważany za najlepszego pisarza tej prowincji.

☆ Książka Moniki Wareńskiej „Alarm na ryżowiskach" ukazała się nakładem wydawnictwa „Mladinska Knjiga" w Lublanie. Autorami przekładu na język słoweński są: Sonja Kraigher i Breda Pogorelec. W r. 1967 „Alarm na ryżowiskach" ukazał się w przekładzie na język rosyjski w nakładzie 65 tys. egz. W druku znajduje się przekład ukraiński i niemiecki.

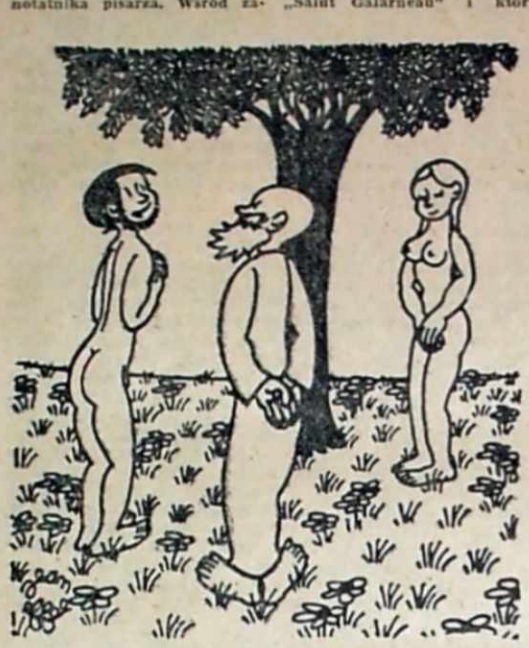

Właśnie mija 30 lat od chwili, gdy w prasie francuskiej ukazał się pierwszy rysunek człowieka, który dziś znany jest w całym świecie. Jean Effel poza swoistym stylem rysunku posiada rzadki dar łączenia myśli poetyckiej z satyrą. W dniu jubileuszu ukazał się album pt. „On stworzył mężczyznę i kobietę". Z tego albumu reprodukujemy rysunek zatytułowany „Ona jest nieporównywalna".

Teatr

☆ Dyrektor Teatru Współczesnego w Warszawie Erwin Axer po powrocie z Amsterdamu, gdzie w Theatre Ensemble reżyserował „Androklesa i lwa" Shawa, udał się do Duesseldorfu w NRF, gdzie będzie reżyserował „Trzy siostry" Czechowa. Warto przypomnieć, że na tejże scenie w jego inscenizacji wystawiono „Tango" Mrożka.

☆ Krystyna Skuszanka, dyrektor Państwowych Teatrów Dramatycznych we Wrocławiu, bawiła ostatnio w Stavanger w Norwegii, gdzie przeprowadziła wstępne rozmowy w sprawie wyreżyserowania w tamtejszym teatrze w roku przyszłym komedii Szekspira „Jak wam się podoba".

☆ Wrocławski Teatr Pantomimy wyruszył w połowie listopada na nowe tournée, tym razem do Danii i Szwecji.

☆ W Moskiewskim Teatrze Satyry odbyło się 200 przedstawienie „Pluskwy" Majakowskiego. Sztukę tę wznowili po wieloletniej przerwie W. Pluczek i S. Jutkiewicz w dniu 1 maja 1955 r. „Pluskwa" grana była na scenach wielu miast Związku Radzieckiego. W sumie przedstawienie obejrzało przeszło 200 tys. widzów. Zespół teatralny prezentował „Pluskwę" również za granicą, m. in. na Międzynarodowym Festiwalu w Paryżu.

☆ Festiwal teatrów studenckich w Nancy będzie odbywał się odtąd co dwa lata, a nie co roku. W przyszłym roku w końcu kwietnia ma się tam odbyć coś w rodzaju młodego Teatru Narodów. Zgłoszenia: Comité de sélection, 169 rue de Metz, Nancy — 54.

☆ W przyszłym roku przyjedzie do Europy na występy w kilku krajach zespół „Bunraku", najstarszy teatr marionetek w Japonii.

☆ 2 lutego, 4 dni przed rozpoczęciem olimpiady zimowej, otwarty zostanie w Grenoble dom kultury o łącznej powierzchni 4 tysięcy metrów kwadratowych. W tym 3 sale dla 2 tysięcy widzów. W jednej z sal scena o powierzchni 500 metrów kwadr. to właściwie galeria, biegnąca wokół ścian zewnętrznych. Fotele na widowni mogą obracać się w dowolnym kierunku — ale wszystkie (320) razem na obrotowej posadzce.

Muzyka

☆ Wspólnym wkładem polskich i radzieckich muzykologów do obchodów 50 rocznicy Rewolucji Październikowej jest dzieło pt. „Polsko-rosyjskie miscellanea muzyczne". Praca ta ukazała się — pod redakcją prof. dr Zofii Lissy — nakładem Polskiego Wydawnictwa Muzycznego.

☆ Zarząd Główny ZMW ogłosił dla członków stowarzyszeń twórczych oraz korespondencyjnych klubów młodych pisarzy konkurs na piosenkę — patriotyczną, liryczną, żartobliwą lub opartą na motywach ludowych. Teksty i nuty należy nadsyłać do 15 grudnia.

☆ Duet fortepianowy Wacław Kisielewski i Marek Tomaszewski zdobył Grand Prix na V Międzynarodowym Festiwalu Varietes w Rennes.

☆ W Caen odbyła się premiera opery „Ładacznica z zasadami" według głośnej sztuki Sartre'a.

☆ Na scenie paryskiego teatru „Mogador" odbyła się prapremiera operetki „Wiedeń śpiewa i tańczy", złożonej właściwie z 30 najpopularniejszych walców Straussów.

☆ Pele, najsłynniejszy piłkarz świata, aby zabawić swoją dziesięciomiesięczną córeczkę Kelly, układał dla niej i śpiewał kołysanki. Ukażą się teraz na płycie, a specjaliści twierdzą, że Pele okazał się doskonałym kompozytorem i wykonawcą.

☆ Władze miejskie Genewy organizują raz w miesiącu w ratuszu koncerty orkiestry kameralnej z udziałem solistów zagranicznych. Ostatnio wystąpił zespół w składzie flet, klarnet i gitara.

☆ W nowojorskiej Metropolitan Opera wystąpiła śpiewaczka rumuńska Elena Cernei w roli Carmen. Olbrzymi sukces.

Sztuka

☆ W Związku Radzieckim zorganizowano przeszło 80 wystaw polskiego malarstwa, rzeźby i grafiki — wszystkie cieszące się wielkim powodzeniem. Niezwykłą popularność zdobyły sobie nasze zespoły „Mazowsze", „Śląsk", orkiestry symfoniczne z Warszawy, Katowic, zespół operowy z Poznania. W okresie obchodów Tysiąclecia Państwa Polskiego odbyły się w ZSRR setki imprez popularyzujących dorobek kultury i nauki polskiej.

☆ Ponad 110 tysięcy rysunków, obrazów i utworów literackich nadesłano do Delhi na doroczny konkurs dla dzieci (do lat 16). Wśród 430 nagród 4 dla dzieci polskich.

☆ W czasie pożaru w jednym z mieszkań w Kopenhadze uległ poważnemu uszkodzeniu głośny obraz Renoira „Coco", przedstawiający syna malarza.

☆ Jak już donosiliśmy, w centrum Marsylii przy budowie nowej dzielnicy odkryto cenne ruiny z czasów greckich. Rząd francuski postanowił na rok wstrzymać prace budowlane, aby specjaliści orzekli, czy należy zachować ruiny, czy też budować dalej.

Różne

☆ Problemom amatorskiego ruchu artystycznego poświęcono wiele miejsca na konferencji kulturalnej woj. poznańskiego. Postulowano konieczność szerszej wymiany doświadczeń wszystkich działających w Polsce towarzystw kulturalnych, włączenia do pracy kulturalnej środowisk młodej inteligencji na wsi.

☆ Od roku trwa akcja nazywana „eksperymentem łanckorońskim". Celem jej jest uczynienie z tego drewnianego miasteczka z XII r. — współczesnego kombinatu turystyczno - wypoczynkowego. W dawnych karczmach i zajazdach, w XVII-wiecznych chałupach powstaną bary szybkiej obsługi, kawiarnie, hotele i sklepy z pamiątkami. Ostatnio otwarto tutaj pierwsze na Ziemi Wadowickiej regionalne muzeum.

☆ Prasa chińska zaatakowała gwałtownie poprzedniego szefa propagandy partii Tao Czu „za rewizjonistyczną linię w dziedzinie sztuki i literatury". M. in., „przywiązywał zbyt wielką wagę do wartości dawnej sztuki chińskiej, nie doceniając proletariackiej".

☆ Chyba bez komentarzy można pozostawić epitety, jakimi niedawno obdarzyła prasa chińska Szołochowa: „główny wróg dyktatury proletariatu, przeciwnik rewolucji, zwolennik kapitalizmu i lokaj imperializmu".

☆ Luca Pavolini, dyrektor włoskiego tygodnika komunistycznego „Rinascita", został skazany na 5 lat i 10 dni więzienia za opublikowanie listu kapłana Lorenzo Milani, który polemizował z pewnymi uchwałami soboru.

☆ W wieku 67 lat zmarł poeta belgijski Pierre-Louis Flouquet, z zawodu architekt. Był jednocześnie redaktorem pism „Dziennik poetów" i „Dom", a także twórcą międzynarodowego Biennale poezji w Knokke.

☆ W Monachium otwarto „Wyższą szkołę telewizyjną i filmową", która posiada trzy wydziały: informacji i wychowanie w telewizji, produkcja artystyczna w telewizji, film. Na pierwszy semestr przyjęto 60 osób.

Film

☆ Na wiejskich drogach Ziemi Lubuskiej pojawił się największy w kraju kinobus zbudowany na ciągniku „Żubr". Jest to komfortowa sala kinowa o 50 miejscach, panoramicznym ekranie ruchomym i urządzeniach klimatyzacyjnych. To ruchome kino zainaugurowało sezon prezentacją we wsiach woj. zielonogórskiego najciekawszych filmów radzieckich.

☆ W latach powojennych oglądaliśmy na polskich ekranach 800 radzieckich filmów fabularnych, krótkometrażowych i dokumentalnych. Obecnie co roku prezentuje się polskim widzom przeciętnie od 30 do 45 nowych filmów radzieckich. Widzowie radzieccy obejrzeli 150 naszych filmów fabularnych i dokumentalnych. Co roku wchodzi na ekrany kin radzieckich kilkanaście nowych polskich filmów.

☆ Raquel Welch w jednym z wywiadów stwierdziła: wydaje mi się, że mogłabym zagrać nawet lady Macbeth w mini-jupce.

☆ W ciągu jednego roku Marcelo Mastroianni ma grać takie trzy różne role: gangstera z Cosa Nostra, Krzysztofa Kolumba i Pucciniego.

☆ W latach 1965 i 1966 produkcja filmowa w Wielkiej Brytanii była w 75 proc. finansowana przez firmy amerykańskie. Na rok bieżący i przyszły przewiduje się jeszcze wzrost udziału kapitałów z USA do 90 proc. Komisja parlamentarna postuluje przyznanie przedsiębiorcom angielskim 370 tys. funtów dotacji.

☆ Ostatnio w Moskwie zawarte zostało porozumienie w sprawie wspólnej realizacji radziecko-arabskiego filmu fabularnego, poświęconego budowie Tamy Asuańskiej. Film zostanie zrealizowany przez wytwórnię „Mosfilm", oraz kairską kompanię filmową — państwową firmę, produkującą ok. 30 pozycji fabularnych i 50 dokumentalnych rocznie.

Penny Brown jest Angielką, ale „odkrył" ją producent włoski Bobby Ceccaci i zaangażował natychmiast do trzech filmów. Tak wygląda w jednej ze scen „Coppa Volpi" — filmie o złotej młodzieży włoskiej.

Do Czytelników

1) Następny numer „Kameny" ukaże się w kioskach w połowie grudnia. Ze względu na święta oraz Nowy Rok będzie to numer podwójny — 29 stron. Będzie wprawdzie kosztował 4 złote, ale do czytania mnóstwo ciekawych rzeczy. A więc np. niezwykle opowiadanie H. Czarneckiego „Ogłoszenie matrymonialne", pierwszy reportaż z podróży L. Proroka do Afryki — „Słoneczny archipelag", kolejny odcinek wspomnień marszałka I. Koniewa „Dwa spotkania z gen. Bradleyem", W. Gralewskiego „Głupstwo, które dwukrotnie zagroziło światu", K. Brauna „Stare, dobre zasady aktorstwa", J. Wegnera „Antynomie humoru", relacja z dyskusji z naukowcami o studiach eksternistycznych i zaocznych, artykuł dyskusyjny Z. Dunajczyka „Sportowcy z przeceny", współczesna proza i poezja bułgarska, jak zwykle felietony, recenzje itd. Przyjemnej lektury.

2) Począwszy od przyszłego roku „Kamena" będzie ukazywała się nie jak dotychczas dwa razy w miesiącu, a ściśle według kalendarza co dwa tygodnie. Tak więc nr 1 ukaże się z datą 7 stycznia, następny 21 stycznia, potem 4 i 18 lutego, a w marcu trzy numery: 3, 17 i 31 marca.

3) Cena prenumeraty pozostaje niezmieniona: 48 zł rocznie, 24 zł półrocznie, 12 zł kwartalnie. Przypominamy, że wszystkie urzędy pocztowe oraz placówki „Ruchu" a także listonosze przyjmują prenumeratę tylko do 10 grudnia.

Notes „Kameny"

Na straży pokoju i socjalistycznych zdobyczy

Od taczanek do rakiet... Wiele dzienników na całym świecie tak zatytułowało informacje o wielkiej paradzie wojskowej, jaka odbyła się w Moskwie w 50 rocznicę Wielkiej Socjalistycznej Rewolucji Październikowej. Dzięki transmisji telewizyjnej mogliśmy, i nie tylko my, na gorąco obserwować ów pokaz nowoczesnego sprzętu, a jednocześnie dokonać interesujących porównań.

Bo tegoroczna defilada różniła się od tych, które zwykliśmy dotychczas oglądać. Defiladę współczesnych wojsk radzieckich poprzedziła część historyczna, chociaż trudno mówić o historii, kiedy jeszcze żyje wielu uczestników pierwszych dni Rewolucji. A jednak historia rozwoju ludzkości nie może dotychczas zanotować takiego skoku, jaki w ciągu pięćdziesięciolecia dokonał się na olbrzymim terytorium ZSRR.

Nawet burżuazyjna prasa zachodnia, chociaż nadal ukazują się w niej tendencyjne, wrogie socjalizmowi artykuły, nie może wobec naporu faktów zachować obojętności i zlekceważyć sukcesy narodów radzieckich. Wszystkie dzienniki amerykańskie, radio i telewizja poświęciły wiele uwagi rocznicy Rewolucji. **„Washington Post"** na ośmiu stronach swego specjalnego dodatku **„Outlook"** opublikował aż dziewięć opatrzonych zdjęciami artykułów, które omawiały tło, przebieg i konsekwencje Rewolucji. Pismo stwierdziło w nagłówku, że *„rozpoczęta przed 50 laty rewolucja rosyjska przekształciła całkowicie Rosję i wywarła wpływ na narody na całym świecie"*. **„New York Times"** znów skonstatował: *„W ciągu burzliwego półwiecza, które nastąpiło po rewolucji bolszewickiej, Związkowi Radzieckiemu udało się stać jedną z największych potęg gospodarczych, naukowych i wojskowych na świecie"*.

Brytyjski **„Scotsman"** pisał, że ludzie radzieccy *„mają wiele powodów do dumy z osiągnięć swego kraju, np. w podboju Kosmosu, ze zdobycia czołowego miejsca w nauce i technice oraz ze statusu jednego z dwu supermocarstw. Rosja sama została przekształcona w wyniku rewolucji, a świat zebrał doświadczenia z jej następstw"*.

Z kolei gaullistowski dziennik **„La Nation"** przypomniał, że nocą 7 listopada 1917 roku technicy stacji telegraficznej na najwyższym piętrze wieży Eiffla odebrali wiadomość o zwycięstwie rewolucji w stolicy Rosji. *„Daleki głos obwieszczał triumf proletariatu i wzięcie władzy w Petersburgu przez rewolucjonistów bolszewickich. Tych kilka zdań wypowiedzianych przez towarzysza Lenina z radiostacji na krążowniku „Aurora" miało w ciągu następnych 50 lat spowodować wstrząsy, które można porównać z przemianami wywołanymi z górą sto lat wcześniej przez rewolucję francuską"*.

Dzień dzisiejszy ZSRR szczególnie teraz interesuje Zachód. Korespondenci zwracają uwagę, że np. w USA dosłownie w ciągu kilku godzin znikają z półek księgarskich ilustrowane magazyny i książki poświęcone Krajowi Rad... A jak było przed 50 laty?

Averell Harriman, przedstawiciel amerykańskiej finansjery, który miał możność wielokrotnej obserwacji przemian dokonujących się w ZSRR, i który do dziś jest przeciwnikiem socjalistycznych idei, musi wyznać na łamach **„Look"**:

„Gdy przed 50 laty bolszewicy zdobyli władzę w Rosji, niewielu na Zachodzie wierzyło w trwałość rewolucji. Przez kilka lat sądzono powszechnie, że w ciągu pięciu lat nastąpi upadek bolszewików. Z roku na rok upierano się przy tym proroctwie, dopóki ludzie nie zaczęli sobie zdawać sprawy, że rewolucja pozostanie już na zawsze... Trzeba sobie uświadomić, że Związek Radziecki odniósł imponujące sukcesy. Gdy bolszewicy przejęli władzę, Rosja była krajem zacofanym w skali europejskiej, analfabeci stanowili 75 proc. ogółu społeczeństwa. Oświata w ZSRR zlikwidowała analfabetyzm, a w szkolnictwie wyższym osiągnięto znakomite rezultaty, zwłaszcza w dziedzinie nauk ścisłych i technicznych... Gdy się obracam wstecz na niebywałe zmiany, które dokonały się w Związku Radzieckim i gdy myślą wybiegam naprzód, nie mogę się oprzeć przeświadczeniu, że tempo przyszłych wydarzeń będzie o wiele szybsze".

Powróćmy jednak do wspaniałej defilady wojskowej. Ten pokaz sił obronnych ZSRR stanowił przysłowiowy kubeł zimnej wody wylanej na zbyt rozgorączkowane głowy. Marszałek Greczko wyraźnie jednak podkreślił, że *„państwo radzieckie prowadzi politykę zagraniczną odpowiadającą żywotnym interesom mas pracujących. Celem tej polityki jest umocnienie pozycji socjalizmu i demokracji, pokoju i przyjaźni między narodami. Jednocześnie, uwzględniając istniejącą sytuację, nasza partia czyni wszystko, aby na jeszcze wyższy poziom podnieść potęgę obronną kraju, jeszcze bardziej umacniać gotowość bojową Armii Radzieckiej i Marynarki Wojennej"*.

Potęgę współczesnej Armii Radzieckiej uwypukliła część historyczna defilady. „Ej, taczanka..." Te taczanki, na które dziś patrzy się tak jak przed pół wiekiem patrzyło się na łuki, były kiedyś szczytem marzeń niejednego oddziału Czerwonej Armii. Jeszcze 49 lat temu **„Prawda"** pisała: *„Mało mamy jeszcze swoich czerwonych oficerów. Trzeba szybko uruchomić szkoły wojskowe, kursy, uczelnie... To, co uczyniono celem stworzenia proletariackiej armii podczas tego niebezpiecznego pierwszego roku daje gwarancję, że w niedalekiej przyszłości Czerwona Armia stanie się niezwyciężona"*.

I stała się. Ona była główną siłą, która powaliła na kolana hitleryzm. Ona przyniosła wolność ujarzmionym narodom. Ona stoi dziś na straży największego skarbu: pokoju i socjalistycznych zdobyczy.

Przez Plac Czerwony przemaszerowali żołnierze piechoty morskiej, żołnierze wojsk powietrzno-desantowych, wychowankowie słynnych uczelni wojskowych. Nowoczesne działa, czołgi, samobieżne kompleksy przeciwlotnicze i wreszcie rakiety, olbrzymia parada rakiet i antyrakiet. Rakiety wystrzeliwane z głębin morskich, rakiety mogące unieszkodliwiać samoloty, międzykontynentalne rakiety — kolosy.

Korespondenci zachodni skrzętnie fotografowali, notowali, komentowali. Największe zainteresowanie wzbudziła — według określeń jednej z amerykańskich agencji — „mamucia" rakieta długości, w przybliżeniu, 33 m, wyposażona w czerwoną głowicę. Ma ona posiadać nowy rodzaj udoskonalonego paliwa. Rakieta może przenosić ładunek jądrowy a także działać jako wyrzutnia orbitalna.

Wiele jest domysłów, hipotez. Dla każdego jest jednak jasne, że jeśli rakiety radzieckie z precyzją trafiają w Księżyc, docierają do Wenus to mogą z jeszcze większą łatwością razić nieprzyjacielskie obiekty w każdym dowolnym punkcie na kuli ziemskiej. Mogą razić, jeśli ktoś chciałby powtórzyć 1941 rok.

Parada moskiewska była więc jeszcze jednym ostrzeżeniem dla każdego potencjalnego agresora.

MAJ

Przecieranie szlaku

TADEUSZ GRABA

SZEKSPIRA znacie? — pytam Zinaidę Lebiedzińską, która skorzystała z okazji i jedzie z nami do rodzinnego Straszewa w powiecie białostockim.

— Znamy, znamy — odpowiada ze śmiechem. I sama pyta:

— Ale takiej kapusty, jaką miałam w tym roku, to nie widzieliście?

Zatkało mnie. O czym ona, o kapuście?! Patrzę nieufnie na siedzącego obok Wieńczysława Sadowskiego, nie wiem, co odpowiedzieć.

— Na pewno nie widzieliście — ciągnie Lebiedzińska. — A jaką piękną loszkę hodowlaną dostałam w nagrodę z kółek rolniczych...

Sadowski, przewodniczący Zarządu Powiatowego ZMW w Białymstoku, wyjaśnia półgłosem, że nie kpią ze mnie, że mam do czynienia nie tylko z kierowniczką świetlicy w Straszewie i sekretarzem tamtejszego koła ZMW, które wyróżniło się w konkursie „Wieś bliżej teatru", ale także ze wzorową gospodynią, członkinią Plenum ZW ZMW i delegatką na zjazd wojewódzki tej organizacji.

Ciarki przechodzą mi po plecach, bo gdzieś z pamięci wyłaniają się słowa „bohater pozytywny", tak dziś niemodne, niegodne pióra reportera, dla którego bananowa młodzież jest tematem bardziej atrakcyjnym, ważniejszym, a ci ludzie codziennej twardej roboty wydają się bezbarwni. Bo cóż to za bohater współczesny, który nie ulega frustracji i alienacji, lecz przeciwnie — odnajduje trwałe miejsce w świecie, który podlega tylko ludzkim, a nie metafizycznym niepokojom? Na przekór więc reporterom spod piramid, szukającym prawdy o losie człowieka tylko w piaskach pustyni i w afrykańskim buszu, piszę o tych właśnie, niepozornych.

Po godzinie dojechaliśmy do Straszewa, niewielkiej, 150 mieszkańców liczącej wsi. Niestety — parterowa szkoła zamknięta, tylko dzieciarnia krzyczy, że ich pani, Maria Wiercińska, kierowniczka szkoły i przewodnicząca Zarządu Gromadzkiego ZMW, wyjechała niedawno do Białegostoku. Obok szkoły, na wysokiej podmurówce rozsiadł się duży drewniany barak — świetlica. Cóż robić, trzeba chwilę odpocząć. Lebiedzińska otwiera drzwi, wchodzimy do dużej sali zastawionej stolikami i krzesłami. Na scenie dominuje telewizor.

— Otrzymaliśmy go w nagrodę za czyny społeczne, a meble od Wydziału Kultury i Oświaty Prezydium PRN — wyjaśnia. — Ale oparcia to zaraz odleciały — uzupełnia ze śmiechem. — Warto by zresztą całą świetlicę wyremontować i odnowić, drugi piec postawić, bo zimą tylko w palcie można tu siedzieć.

Rozglądam się dookoła. Rzeczywiście, remont konieczny. W pewnym momencie dostrzegam na ścianach jakieś dziwne plakaty. Barwne pejzaże, znana architektura, ale napisy po francusku i angielsku: „Odwiedzajcie Moskwę", „Związek Radziecki zaprasza", „Góry Kaukazu czekają na was".

— Był u nas w gościnie człowiek, który w czasie wojny walczył tu w partyzantce radzieckiej. To on właśnie podarował nam te plakaty. Ładne, prawda?

— A wiecie, co te napisy znaczą?

— Nie, ale są ładne.

To jeszcze wystarcza. Ale za rok, za dwa?

— Świetlicę postawiliśmy sami, zlewnię mleka też, przystanek kolejowy sami, tylko że bez światła, a PKP jakoś nie odpowiada na nasze prośby i podania.

— To ludzie tacy tu chętni do roboty?

— Ludzie, jak to ludzie, jeden taki, drugi inny, ale Wiercińska wszystkich potrafi przekonać.

— Widzicie redaktorze — wtrąca Sadowski — przed wojną działała tu KPZB, te tereny nazywano Wielkim Czerwonym Gródkiem. I chyba dlatego poczucie więzi społecznej jest tu silniejsze niż gdzie indziej. We wsi Sokole członkowie koła ZMW zamiast kart wstępu przynoszą w zimie do świetlicy węgiel i drzewo. Koło w Straszewie, stosunkowo nieliczne, około 20 osób, potrafiło zebrać 1500 zł na fundusz budowy szkół i 1000 zł na pomoc dla Wietnamu. W całym powiecie koła ZMW zgromadziły 10 tys. zł dla dzieci wietnamskich i wypracowały 1,5 mln zł w ramach czynów społecznych.

— No, a konkurs „Wieś bliżej teatru"? — przypomniałem sobie cel mojej wizyty. Lebiedzińska wymienia powoli:

— Oglądamy spektakle Teatru Telewizji, rozmawiamy później na ich temat, urządzamy wieczornice z piosenkami, czasami jeździmy do teatru białostockiego. Był u nas także pan Orłowski z Teatru Węgierki.

* * *

Powróciliśmy do Białegostoku późnym popołudniem. Nazajutrz rozmawiałem z wiceprzewodniczącym Zarządu Wojewódzkiego ZMW, Stanisławem Kakareką. „O konkursie „Wieś bliżej teatru" powie wam najwięcej koleżanka Antonina Sokołowska ze Związku Teatrów Amatorskich. Zaraz was umówię".

— „Koleżanko, konkretnie — przedrzeźnia Sokołowska. — Tylko konkretnie, bez tych achów i ochów, mówcie ile, gdzie i kiedy". A ja mam dosyć statystyki, dosyć liczb, które śnią mi się po nocach, które zamieniają ludzi w abstrakcję. A on właśnie — tu padło nazwisko jak seria karabinu maszynowego — tak lubi statystykę — wyrzuciła te słowa szybko, bez oddechu, ale i bez specjalnej złości.

— No, oczywiście, przesadzam — dodała po chwili. — Liczby są potrzebne, jakoś obiektywizują wyniki działania, a w ich świetle udział ZMW w konkursie przedstawia się rzeczywiście imponująco. Organizacja zrobiła bardzo dużo — to fakt. O tym świadczy m. in. podział nagród wojewódzkich. Ale proszę mi wierzyć, że żadne oficjalne uhonorowanie, żadna etykietka z napisem „pierwsze miejsce" nie daje najmniejszego wyobrażenia o ludzkim zaangażowaniu, za którym stoi potrzeba innego świata: pełniejszego, przekraczającego tradycyjne granice wiejskiego życia, bogatszego. Niech pan posłucha.

Do Pietkowa w powiecie łapskim wybrali się na wiosnę. W południe samochód buksował w zwałach tłustego błota, pod wieczór ślizgał się na oblodzonych grudach. Redaktor Jerzy Sawicki z białostockiej „Naszej Wsi" taszczył ze sobą imponujący aparat fotograficzny, którym zamierzał zrobić kilka zdjęć tamtejszego zespołu teatralnego.

Wiktora Golaszewskiego, nauczyciela kierującego zespołem i Kołem Miłośników Teatru, nie zastali w szkole. Odnaleźli go wkrótce w wiejskiej chałupie, gdzie mieszka kątem u gospodarzy. Chorował na grypę. Młody, zaledwie po trzydziestce, od dawna interesuje się teatrem, choć nie bardzo potrafi uzasadnić, dlaczego. Ot, widział kiedyś w dzieciństwie przedstawienie dramatyczne i od tego czasu nie może obejść się bez sceny. Do Białegostoku daleko, droga podła, pracy na miejscu dużo, więc żeby jakoś zaspokoić potrzebę teatru, tu, w Pietkowie, zaczął prowadzić zespół.

Dziś, już znany w okolicy, odwiedza sąsiednie wsie, zimą saniami jadą wiejscy aktorzy dawać przedstawienia. Pietków jest wsią niewielką, szkoła tam również skromna, klasy ciasne, a więc próby odbywają się w pokoju nauczyciela. Środek izby to scena, ławy pod ścianami — widownia.

Tam właśnie Sokołowska z Sawickim czekali na członków zespołu. Czekali pół godziny, godzinę, lecz nikt nie przychodził. Zniecierpliwienie zamieniło się w niepokój. Upłynęło półtorej godziny, zanim zjawili się pierwsi aktorzy. Wszyscy wystrojeni, kobiety w niedzielnych kieckach, mężczyźni w czarnych garniturach i wyglansowanych butach. Okazało się, że winę za wszystko ponosi Sawicki, a właściwie jego aparat. Jak się pokazać, to od najlepszej strony, w najlepszym ubraniu, aby w mieście nie myśleli, że w Pietkowie nie znają się na modzie. Nie pomogły prośby dziennikarza, który chciał mieć na zdjęciach „autentyzm" przekonywał gospodarzy o urodzie kożucha i walonek.

— Byłam zażenowana, przyjmowali nas, jak ludzi z innej planety.

— Wydaje mi się — zastanawiam się głośno — że przyjmowano was jak ludzi z innego środowiska, którego zasady, sposób bycia i kultura są im coraz bliższe, stanowią dla nich pewne wzorce. Szczególnie dla młodych: kawaler w ortalionie na ryczącym „Junaku" to nie tylko symbol zamożności wsi, ale wyraz przemian kulturowych, które zawsze zaczynały się od rzeczy i spraw powierzchownych, od mody najczęściej.

— Ależ, oczywiście! Czy pan nie ma poczucia humoru?! — zapytała. Od odpowiedzi uchronił mnie terkot telefonu.

— To pan! Jakże się cieszę, a przy okazji dziękuję za załatwienie tamtej sprawy. Proszę wpaść do nas na kawę, czekam! — jeszcze kilka zdań i zakończyła rozmowę.

— Ktoś niewątpliwie sympatyczny — prowokuję. Sokołowska rewanżuje się dwuznacznym uśmiechem.

— Być może, być może, zresztą dla Związku Teatrów Amatorskich każdy życzliwy i nie skąpy jest sympatyczny. Personel etatowy Oddziału Wojewódzkiego ZTA liczy aż dwóch pracowników, a fundusz bezosobowy opiewa na 500 zł rocznie. Jesteśmy ciałem tak społecznym, że aż strach bierze. Dużo sprytu i taktu wymagają takie drobiazgi, jak uzyskanie sali widowiskowej — za darmo, fotografii spektaklu — za darmo, skłonienie kogoś do zaparzenia kawy dla gości — za darmo. W końcu przecież nie narzekam, bo dzięki pomocy różnych instytucji i organizacji dajemy sobie jakoś radę. A realizacja konkursu „Wieś bliżej teatru" wymagała wiele pracy: ZTA po raz pierwszy w tym roku nim kierował.

— Łączy pani rzeczowość z entuzjazmem — zażartowałem.

— W naszej pracy spotykamy się z ludźmi i sytuacjami, które zmuszają do żywszego do nich stosunku. Czy można być urzędnikiem, kiedy widzi się, ile serca wkładają ludzie wsi w działalność kulturalną? W zimie byłam w Przerośli pow. Suwałki, gdzie ponad 20 lat społecznie amatorskim ruchem artystycznym kieruje rolnik, Józef Podziewski. Uczestniczyłam wtedy w komisji oceniającej eliminacje konkursu recytatorskiego. W zatłoczonej sali wiejskiego kina ludzie siedzieli w kożuchach i płaszczach, bo mróz był solidny. A na scenie występowali młodzi chłopcy i dziewczęta, recytując „Listy spod gilotyny", których akcja toczy się na Suwalszczyźnie. Byli tylko w marynarkach i bluzkach, nie chcieli się cieplej ubrać, bo dzień ten był dla nich świętem, a w święto występuje się elegancko, godnie. Kiedy później, w mieszkaniu Podziewskiego, typowaliśmy najlepszych na eliminacje powiatowe, byliśmy w prawdziwej rozterce. Kogo wybrać, aby jednych nie skrzywdzić, innych nie zniechęcić?

— Podobno w konkursie „Wieś bliżej teatru" macie jakieś szczególne osiągnięcia?

— Podobno. Pana także interesują liczby?

— Teraz tak.

* * *

Zorganizowany przez MKiS, ZTA, ZMW, „Tygodnik Kulturalny" i tygodnik „Zarzewie" dla placówek kulturalno-oświatowych i stowarzyszeń kulturalnych działających na wsi i w małych miastach oraz dla teatrów dramatycznych i lalkowych, konkurs „Wieś bliżej teatru" miał na celu popularyzację teatru i upowszechnienie kultury teatralnej w środowisku wiejskim i małomiasteczkowym.

Na Białostocczyźnie wzięło w nim udział 430 placówek, co uplasowało to województwo na drugim miejscu w kraju. Największa w tym zasługa Związku Młodzieży Wiejskiej, którego 256 kół (!) z powodzeniem realizowało różnorodny program konkursu, przewidujący spotkania z ludźmi teatru, grupowe wyjazdy na przedstawienia teatrów zawodowych, dyskusje na temat oglądanych spektakli, organizację amatorskich zespołów teatralnych, klubów przyjaciół i miłośników teatru. W ramach konkursu odbyło się także wiele przedstawień zespołów amatorskich, wieczorów poezji i wystaw teatralnych.

W samym tylko powiecie białostockim do konkursu stanęło 116 placówek, w tym koła i zarządy gromadzkie ZMW obok bibliotek, kół gospodyń wiejskich, klubów „Ruchu" i „Rolnika", kółek rolniczych. Konkurs zaangażował więc niemal wszystkie liczące się organizacje i instytucje, którym z organizacyjną i merytoryczną pomocą przyszły domy kultury, Teatr im. Węgierki, WKZZ, ZTA i spółdzielnia turystyczna „Gromada". Dzięki np. „Gromadzie" ponad 47 tys. osób wyjechało na przedstawienia teatralne w różnych miastach kraju.

W realizacji konkursu wyróżniło się szczególnie kilka kół ZMW: w Sokolem, Łopuchowie, Straszewie, Barszczewie, Kozińcach i Tykocinie (trzy ostatnie razem z bibliotekami). O aktywności ZMW świadczy także rozdział nagród wojewódzkich. W grupie ośrodków kultury nagrodę otrzymało koło ZMW w Łopuchowie, obok Gromadzkiego Ośrodka Kultury w Baniach Mazurskich, gdzie zresztą nie odbierają już polskiej telewizji. W kategorii powiatowych placówek kulturalno-oświatowych nagrodzono Zarząd Powiatowy ZMW w Białymstoku oraz Oddział Powiatowy ZTA w Gołdapi. Warto również przytoczyć listę nagród indywidualnych. Otrzymały je następujące osoby: Wieńczysław Sadowski, przewodniczący ZP ZMW w Białymstoku, Aldona Śliwińska, sekretarz Oddziału Powiatowego ZTA w Gołdapi i kierownik biblioteki powiatowej w tym mieście, Leszek Koralewski, dyrektor „Gromady", i wspomniany aktor Teatru im. Węgierki, Eugeniusz Orłowski.

* * *

Wybrałem się do Białegostoku, aby przypatrzeć się działalności kulturalnej ZMW. W rezultacie napisałem o fragmencie pracy tej organizacji, skupiającej 45 tys. członków. Obawiam się nawet, że reportaż pokazuje przede wszystkim wieś białostocką i ludzi z nią związanych. Ale to chyba wystarcza, żeby dostrzec wysiłek tej organizacji?

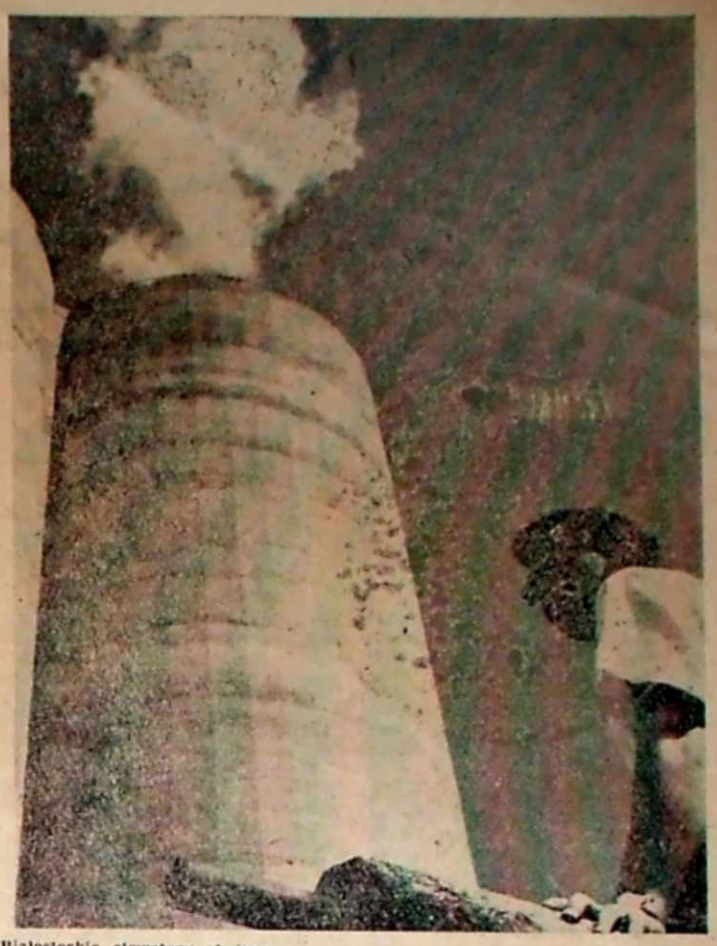

Białostockie elewatory zbożowe. Fot. R. Sieńko

Andrzej Rozhin w jednym z programów

PASJA DO TEATRU CZYLI ROZHIN I INNI

MIROSŁAW DERECKI

NIE ma co do tego wątpliwości — Andrzej Rozhin pierwszy stworzył w Lublinie prawdziwy teatr studencki tzn. taki, który wyszedł już poza ramy zwykłego „zespołu teatralnego", kółka zainteresowań, w jakim młodzi ludzie mogą zbożnie spędzać wolny czas i gdzie ważniejszą rolę odgrywa praca nad samym tekstem niż przekazywanie tego tekstu widzowi. *Dla nas jedną z najważniejszych kwestii jest nie tylko zrobienie spektaklu, ale i granie owego spektaklu* — mówi Rozhin. I nic w tym dziwnego, teatr przestał już być zabawą, ma do powiedzenia coś, co chce przekazać szerszemu ogółowi.

Akademicki Teatr UMCS „Gong-2" liczy się w swoim gatunku na arenie ogólnopolskiej, zdobywa nagrody, wyjeżdża za granicę, daje ponad 100 spektakli rocznie. W ciągu ponad pięciu lat istnienia przygotował 18 premier, dysponuje zdyscyplinowanym trzydziestoosobowym zespołem aktorskim. Od niedawna posiada salę o 400 miejscach z doskonałym zapleczem technicznym. Przedstawienia „Pieśni i songów pana Brechta" czy „Elżbiety Bam" Daniela Charmsa stanowią niemały wkład w kulturalny dorobek Lubelszczyzny.

Od kilku lat obserwujemy rozwój „Gongu-2" i trudno przy tym nie zauważyć kształtowania się artystycznej osobowości Rozhina. Prasa chętnie zamieszcza notatki o sukcesach teatru, mniej uwagi poświęca samemu jego twórcy i reżyserowi. Szkoda, bo należy on do jednostek konsekwentnie realizujących swoje zamierzenia i co ważne, posiadających przy tym lut szczęścia. Złośliwi mówią o Rozhinie, że „cwaniak". Może raczej, oprócz artystycznych uzdolnień, dobry organizator i zręczny dyplomata? W Lublinie trzeba być wszak utalentowanym ekwilibrystą, żeby przekonać ludzi o celowości swych poczynań. Tak czy inaczej Rozhin robi dobrą robotę, a kultura na tym zyskuje.

Może niezbyt chętnie w obecnej chwili przyzna się, że „Gong-2" jest dla niego pośrednim ogniwem na drodze do zawodu reżysera. Zresztą nie byłoby nic w tym dziwnego, studencki ruch teatralny pełen jest podobnych przypadków, wystarczy przykład Biczyckiego z warszawskiej „Stodoły". A i sam „Gong-2" wydał ze swych szeregów Ewę Benesz, obecnie aktorkę Teatru-Laboratorium Grotowskiego. Rozhin należy więc do grona tych osób, które do zawodu trafiają drogą okrężną, co najczęściej tylko w pozytywny sposób odbija się na ich sztuce. Wnoszą ze sobą świeżość spojrzenia i nabytą w ciągu długich lat pracy umiejętność porozumiewania się z ludźmi ze środowiska nie mniej trudnego niż aktorskie.

Jak rzadko który teatr studencki, „Gong-2" zachował prawie sześcioletnią ciągłość pracy. Choćby już z samego doboru repertuaru granego w tym czasie można prześledzić proces dojrzewania — nie tylko intelektualnego — grupy młodzieży, która kiedyś startowała z „gimnazjalnych" zupełnie pozycji...

*

Założyciel zespołu znalazł się w Lublinie po przerwaniu studiów w Wyższej Szkole Teatralnej w Krakowie. Co było tego powodem — historia na razie milczy. Został zaangażowany do Teatru Lalki i Aktora. W tym czasie zaczynał się w Lublinie okres prosperity teatrzyku medyków „Dren-59", który u szczytu powodzenia miał wysko-

(Dokończenie na str. 10)

Musimy swoją Ojczyznę
pachnącą różami i chlebem
wprzód nakryć
własnym sercem
jak gdyby drugim niebem
JAN POCEK

Zapole

Nr 3 30 XI 1967 Rok I

Korespondencyjny Klub Młodych Pisarzy — Ośrodek Lubelski przy ZW ZMW

Obecni w życiu wsi

ANDRZEJ MICKIEWICZ

Zamieszczając poniżej artykuł wiceprzewodniczącego Zarządu Wojewódzkiego Związku Młodzieży Wiejskiej w Lublinie, pragniemy tym razem tylko zwrócić uwagę na kilka zasadniczych problemów. Niektórymi z nich zajmiemy się w przyszłości obszerniej.

JEST to już szósty w Lublinie Wojewódzki Zjazd ZMW. Poprzedziły go oczywiście liczne zebrania kół, narady i konferencje aktywu, zjazdy powiatowe, spotkania z delegatami. Poruszano tam wiele istotnych dla naszej wsi i dla naszej organizacji spraw. Bardzo często słyszało się takie sformułowania: w naszej wsi, w naszym powiecie moglibyśmy dużo więcej zrobić, ale brak nam pomocy, inni nas nie rozumieją, nie doceniają naszej pracy, czasem nawet lekceważą. Wyjaśnijmy, że przez „innych" rozumie się najczęściej członków lub pracowników rad narodowych, gminnych spółdzielni, straży pożarnej, niekiedy też członków partii czy ZSL.

Jak to ze skargami bywa — czasem są one uzasadnione, ale często nie, chociaż ich autorom na ogół nie można odmówić dobrej woli. A nie mają te skargi uzasadnienia przede wszystkim wtedy, gdy żądając wiele od innych, sami w zamian nic albo bardzo niewiele dajemy. Inaczej mówiąc dzieje się tak wtedy, gdy w życiu społecznym wsi nie widać naszej działalności. Naszej jako organizacji i naszej jako młodych ludzi, którzy właśnie dzięki swej młodości mogą wnieść wiele dobrego we wszystkich dziedzinach życia wsi.

Wydaje się, że ten problem wypłynie jako jeden z zasadniczych na Zjeździe, a zapewne także i po nim, gdy w kołach ZMW będziemy omawiali dorobek Zjazdu i zastanawiali się, jak wcielać w życie jego uchwały.

Od miesiąca trwa na wsi wytężona praca przy realizowaniu uchwały IX Plenum Komitetu Centralnego PZPR. Zespoły specjalistów rolnych określają dla każdej wsi, dla każdego gospodarstwa wskaźniki nawożenia i innych zabiegów agrotechnicznych, które doprowadzą do zwiększenia plonów. Jest to wielka praca zarówno gospodarcza jak i polityczna. Działacze partii i ZSL słusznie czekają na naszą pomoc. I w tej właśnie wielkiej kampanii musimy wziąć masowy udział jeżeli chcemy pokazać siłę i aktywność zorganizowanej młodzieży, jeżeli później przy podsumowaniu wyników chcemy legitymować się własnym wkładem.

I druga sprawa. Zbliża się koniec roku, a wraz z nim okres bilansowania dorobku każdej wsi, gromady i powiatu. Sprawy te będą omawiane na sesjach rad narodowych, posiedzeniach instancji partyjnych, w kółkach rolniczych, gminnych spółdzielniach. Omawiane będą wszystkie dziedziny naszego życia: sytuacja ekonomiczna gromady, rozwój rolnictwa, kultury, zdrowie, oświata. Te sprawy nie mogą być domeną tylko starszego pokolenia. Musi się z nimi zapoznać młodzież, musi w tym rocznym bilansie dostrzec nie tylko własny wkład, ale i to, czego nie zrobiła, a co było możliwe do zrobienia. Może właśnie przede wszystkim to ostatnie, aby wyciągając wnioski z przeszłości nakreślić sobie bardziej ambitne, szersze plany. Oczywiście konkretne i możliwe do realizacji, bo nie o deklaracje przecież chodzi, ale o czyny, o działalność, o efekty.

Zjazd Wojewódzki stwarza wielką szansę wzbogacenia naszej wiedzy o życiu wsi, o jej potrzebach, możliwościach zaspokojenia tych potrzeb. Zjazd będzie równocześnie zbilansowaniem naszej siły jako organizacji, świadomości społecznej naszych członków. Zjazd wreszcie powinien stać się początkiem nowego etapu, w którym wkład ZMW w dalszą zmianę warunków życia społecznego, gospodarczego i kulturalnego na wsi będzie jeszcze bardziej aktywny niż dotychczas.

Przysłowie mówi, że nieobecni nie mają racji. Chodzi więc o to, abyśmy byli w każdej wsi, abyśmy uczestniczyli we wszystkim, co dobrego dzieje się w tej wsi, abyśmy byli zarówno przy opracowywaniu planów jak i ich realizacji. Aby wkład ZMW w tworzenie nowej wsi był coraz większy, i coraz lepszy.

Witamy Wojewódzki Zjazd ZMW w Lublinie

1–2 XII 1967

W Zjeździe weźmie udział ponad 200 delegatów, reprezentujących 75 tysięczną organizację ZMW. Spośród nich wybraliśmy sylwetki dwóch, których działalność wiąże się z kierunkami pracy naszego Klubu.

KOL. ANTONI MATCZUK

W czasie Zjazdu ukończy 25 lat, urodził się bowiem 1.XII.1942 roku we wsi Dolhobrody, pow. Włodawa. Już w szkole podstawowej oraz Przysposobienia Rolniczego dał się poznać jako działacz społeczny i dobry organizator. Odbywając służbę wojskową był członkiem zarządu jednostki przy Kole Młodzieży Wojskowej. Od 1959 r. należy do ZMW, gdzie pełni funkcję wiceprzewodniczącego Zarządu Gromadzkiego w Hannie i wiceprzewodniczącego ZP ZMW.

W charakterystyce Zarządu Powiatowego ZMW czytamy: „Koło ZMW, którego członkiem jest nasz delegat, kol. Antoni Matczuk, należy do najlepszych w powiecie Włodawa... W czynie społecznym pomagał przy budowie świetlicy, remizy i szosy biegnącej z Włodawy do Sławatycz. Opiekuje się miejscowym Klubem, prowadząc w nim działalność kulturalną, organizując dyskusje nad książkami, audycją radiową, lub telewizyjną".

Kol. Matczuk jest członkiem Zarządu LZS. W roku bieżącym wstąpił w szeregi PZPR.

KOL. JÓZEF CIĘŻKI

Urodził się we wsi Brzeziny 5.I.1942 r., grom. Puchaczów, pow. Lublin. Pełnił funkcję przewodniczącego Zarządu Gromadzkiego ZMW w Puchaczowie, w którego skład wchodzi aż 8 kół ZMW. Od 1964 roku jest członkiem PZPR. Już w trakcie nauki zaocznej w Technikum Rolniczym podjął pracę jako agronom gromadzki. Jest zarówno dobrym organizatorem życia młodzieży w swojej gromadzie, jak również przyczynia się do podniesienia wyników produkcyjnych. Zorganizował zespoły przysposobienia rolniczego przy kołach ZMW. Gromada Puchaczów zajmuje w powiecie I miejsce w budowie silosów. Co trzeci gospodarz posiada silos.

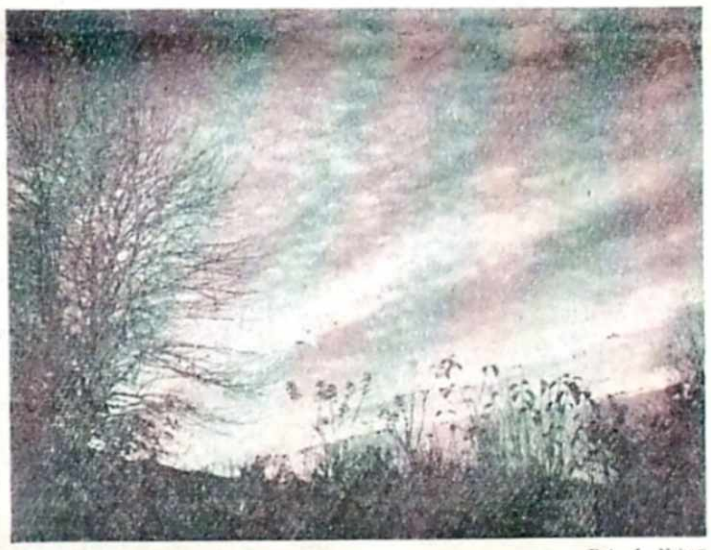

Fot. J. Urban

Z życia Klubu

ZAMIAST KWIATÓW

JEST taki ładny zwyczaj, że na rozpoczęcie nowego roku szkolnego, uczniowie przynoszą swym nauczycielom kwiaty. Na inauguracji roku kulturalnego, zorganizowanej przez ZG ZMW 18 X. br. w Domu Chłopa w Warszawie, nie było kwiatów. Zaproszony został aktyw działaczy kulturalno-oświatowych, zaangażowanych w pracę Związku z całej Polski, w tej liczbie również przewodniczący ośrodków KKMP.

Po referatach nakreślających kierunki pracy Związku na rok bieżący, wiceminister Kultury i Sztuki, Zygmunt Garstecki, wręczył paru działaczom Odznaki Zasłużonego Działacza Kultury, po czym odbyła się dekoracja Złotą Honorową Odznaką ZMW, którą m. in. otrzymali lublinianie: Michalina Wasio, Andrzej Mickiewicz i nasz kolega klubowy, mgr Henryk Sienkiewicz.

W dniach 3.XI.—5.XI. br. odbyło się w Warszawie seminarium na temat REALIZMU SOCJALISTYCZNEGO W LITERATURZE I SZTUCE. O doniosłym znaczeniu tego seminarium, zorganizowanego przez ZG ZMW i KKMP, świadczy fakt udziału w seminarium wybitnych przedstawicieli nauki oraz władz partyjnych. Uczestnicy seminarium wysłuchali referatów: prof. S. Żółkiewskiego pt. „Spór wokół koncepcji literatury socjalistycznej", prof. S. Morawskiego na temat „Wybrane zagadnienia z marksistowskiej koncepcji estetyki", dr J. Kossaka pt. „Etapy dyskusji w realizmie socjalistycznym w Polsce 1945—1956".

W trakcie trzydniowego seminarium odbyło się również spotkanie z kierownikiem Wydz. Kultury KC PZPR, W. Kraśką, na którym uczestnicy seminarium stawiali szereg pytań dotyczących spraw polityki kulturalnej, nowych wydawnictw oraz oceny tych zagadnień przez partię.

Ponadto odbyło się spotkanie z dr Z. Grzelakiem na temat badań socjologicznych dotyczących twórczości członków KKMP. Przedstawiono analizę socjologiczną tego zagadnienia w oparciu o przeprowadzoną uprzednio ankietę wśród członków KKMP. Analiza wykazała między innymi, że obniża się przeciętna wieku członków KKMP, co wskazuje na pozytywny fakt odmłodzenia ruchu. W seminarium uczestniczyli przedstawiciele wszystkich ośrodków KKMP. Lubelski Ośrodek reprezentowali: Stanisław Łukowski i mgr Waldemar Michalski. Podsumowania dyskusji trzydniowego seminarium dokonał przewodniczący KKMP, Andrzej Gerłowski.

12 listopada br. odbyło się zebranie naszego Ośrodka z udziałem prezesa Oddz. ZLP w Lublinie, red. Zygmunta Mikulskiego. Na zebraniu przedstawiono i przedyskutowano plan pracy Ośrodka.

J. J.

JERZY JEDZINIAK

Powroty

odnalazłem moje niebo
w twoich oczach

zagubiłem wszystkie kłamstwa
w twoich słowach

tak najprościej
powitałem twoje ręce
jak na dłoni
położone czyjeś serce

piłem do dna
puchar najlepszego trunku

wyrzuciłem
z serca piołun żalu

teraz gdy zasiadłem
w kręgu wspomnień
odnalazłem świeżość pocałunku

KRYSTYNA MAKUŁA-TROCHIMIUK

* * *

zostawić cię tak
gdy jesienią
przy szpitalach kasztany
zostawić cię inaczej
odejść między ptaki
a wiedy staniesz tak
po kostki w bólu
upleciesz ręce mocne
ponad miarę
na smutek wszelki
no i chyba pójdę
wypełniać je sobą
no te twoje
przykazania rąk

WALDEMAR MICHALSKI

Uchanie

uderzam w klawisze wspomnień
palce już nie tamte
U c h a n i e
kwitnąca muszla sadów
dławiący w maciejki oddechu
źródlany wieczoru chłód

otwieram pierś
oczy łąki dymią wołaniem późnym
czy to ikony kadzidłem jałowców
ogień czasu palą krwawy
w zwierciadłach monstrancji

— a może traktor ugór rozwala
i czarne dłonie myją benzyną
w gromadzie dzieci
z żywicznych klas

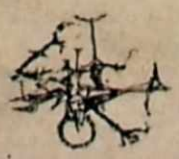

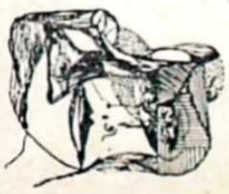

STANISŁAW ANDRZEJ ŁUKOWSKI

Lustro

pięknieje mi z dnia na dzień
oblicze lustra
ani jednej zmarszczki
ani jednego siwego włosa
ani jednej sekundy straty

przepytuje swą twarz
w oczach nosach rzęsach
nie szanuje też sprzętów

ale kiedyś
ja mu zagrożę
może posiwieje
może się pomarszczy
może go pochowam

Drzewo

Niby kruchość oddechu dziecka
pośród nich
Jedno ono bezżenne jeszcze bez numeru

płochliwie wspiera się cieniem w beton

A jednak jest
choć odarte
pośpiechem samochodu
nieuwagą cegły

Stoi kulawo rozparte
w tęsknocie za wiatrem

Przerywniki D. Opelski

SPORT A ETYKA

Dyskusja z działaczami sportowymi

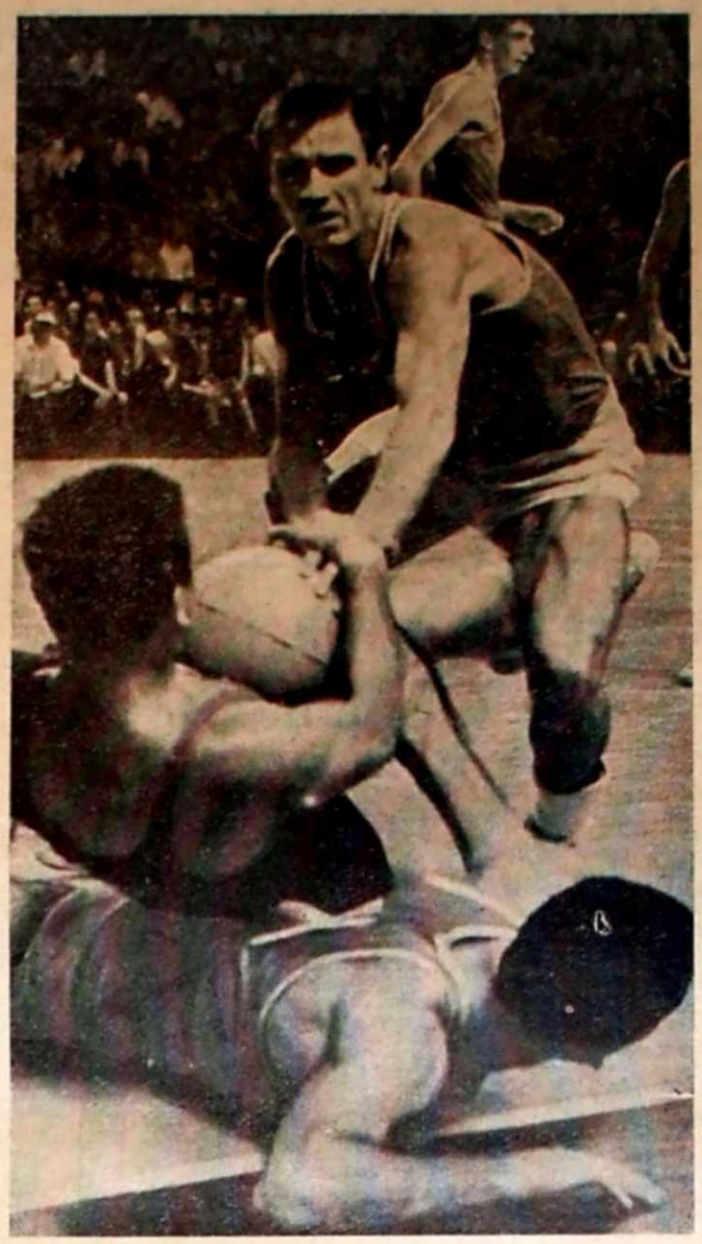

(Dokończenie ze str. 1)

artykule „Lublin gola". Rezultat — jesteśmy w III lidze. Ale pracujemy cichutko, konsekwentnie i chociaż nie można w sporcie planować jak w produkcji, to myślę, że będziemy w II lidze. Poza tym nie było wypadku, abyśmy w jednym sezonie zmieniali 7 trenerów. Nie zgadzam się też, że 5 lat to „wystarczająco dużo", aby z trampkarza zrobić gracza I ligi.

Red. Wiśniewski: — Nie pamiętam nazwisk, notatki mam w domu, ale pokażę p. majorowi owych 7 trenerów.

Mgr Pawłowski: — 5 lat może wystarczyć, ale w pojedynczych wypadkach.

K. Szczotka: — Jako członek zarządu klubu z artykułu „Mistrz pięści", dowiedziałem się wiele nowych dla mnie rzeczy. Autor wyłudził od chłopaka wiele wyznań, a potem skompromitował go. Gdyby o mnie chodziło, skierowałbym sprawę do sądu. Charakter tego zawodnika jest zresztą trudny, przekonali się o tym także trenerzy państwowi. Nie jest prawdą, że państwo łoży tak dużo na sport. Nasz budżet wynosi 1,5 mln zł, a dotacja tylko 100 tys. zł. Reszta pochodzi od załogi, która naciska na nas w różnych sprawach, czasem nawet niezgodnych z przepisami. Artykuł był tendencyjny, ani słowa o tych, którzy pracują i walczą dobrze.

M. Ziemiński: — Niestety, tak się dzieje, że „sport to nie tabu". Gdyby tak było, pisaliby o nim tylko specjaliści. A my chcielibyśmy, aby „Kamena" pomagała nam w wychowaniu. Nie tylko sam bokser był winien. Ale czy jeden lub drugi fakt przekreśla człowieka? My omawialiśmy z nim wiele spraw, chcieliśmy go skierować do szkoły, ale to trudny chłopak.

Red. Dostatni: — Szkoda, że klub dowiedział się o pewnych sprawkach swojego zawodnika dopiero z naszego artykułu, chyba powinien je znać zanim go sprowadził. Fakty były prawdziwe, podane przez niego w obecności jego trenera. A jakoś panowie zapominają, że artykuł kończył się optymistycznie, mimo że późniejsza rzeczywistość już pokażną część tego optymizmu przekreśliła.

Mgr Niewiadomski: — Dobrze, że „Kamena", a ostatnio także inne pisma kulturalne, podjęły tematykę sportową. Sport to potężny ruch na całym świecie, jego wpływ sięga do polityki, gospodarki, życia społecznego. Ale jak się pisze o sporcie? „Polityka" swego czasu zrobiła z Drogosza człowieka pokrzywdzonego przez państwo, klub i los. Teraz skończył on AWF, zaczyna przewód doktorski i jeszcze jest zawodnikiem wysokiej klasy. A swego czasu też uderzyła mu woda sodowa do głowy, ale to na szczęście, przeszło. Sport to już nie taki ideał, jak sobie wyobrażał baron Coubertin.

Jedną z drażliwych spraw jest przechodzenie zawodnika z klubu do klubu. Chcielibyśmy, aby zawodnik był w jednym. Ale to niemożliwe. Każdy szuka lepszych warunków pracy, bytowych, możliwości wybicia się, takich praw nie można odmówić sportowcom. Zresztą żaden klub na świecie nie wychowa pełnej dobrej drużyny. Kierownictwo polskiego sportu jest państwowo-społeczne; czasem to dobrze, a czasem źle. Od czynnika państwowego można wymagać dużo, ale działacze, to ludzie pracujący dobrowolnie. Środki płyną rozmaitymi kanałami, nie zawsze można je zużyć na najbardziej potrzebne rzeczy, kluby i piony mają swoją politykę, nie zawsze w pełni zgodną z interesem ogólnym. Niech „Kamena" pisze więcej o sporcie, ale wszechstronnie, o rzeczach dobrych i złych, znajdziecie wielu sprzymierzeńców wśród działaczy, zawodników i kibiców.

Mgr Krychowski: — Przedostatnie Plenum KC PZPR zobowiązało nas do zajęcia się młodzieżą trudną. Powiedzmy sobie prawdę, że my — trenerzy — nie palamy zbyt wielką chęcią do podjęcia tego trudu, ale rozumiemy, że mimo wszystko tak trzeba. Ale wtedy będzie jeszcze więcej konfliktów. Jestem 10 lat trenerem i nie spotkałem jeszcze działacza, który miałby konflikt z prawem. W wyniku artykułów „Kameny", „Kierunków" i „Kultury", społeczeństwo zaczyna być zaniepokojone pytaniem, czy zdołamy utrzymać 7 miejsce na świecie, społeczeństwo zastanawia się, czy kadra i aparat administracyjny sportu dobrze pracują. Lubelski sport jest jeszcze daleki od doskonałości. Zrobiliśmy coś niecoś, aby go podnieść na wyższy poziom — na Spartakiadzie zajęliśmy 13 miejsce, na poprzedniej 20. Ale jak jeszcze bardziej zaktywizować teren? To problem trudniejszy niż sprawa „mistrza pięści". Gdyby „Kamena" zechciała pisać o podobnych sprawach w środowiskach twórczych, musiałaby dwukrotnie zwiększyć objętość. Aha — dlaczego trenerzy nie chcą w sporcie wyczynowym młodzieży trudnej? Tu bardzo, bardzo rzadko osiąga się dobre wyniki. Myślę o lekkiej atletyce, gdzie kontakt z trenerem jest szczególnie ważny, a tego kontaktu z „trudnym" prawie nigdy nie udaje się nawiązać.

Red. Wawrzycki: — Artykuły w „Kamenie" zostały napisane bez znajomości spraw sportowych, były tylko kijem w mrowisku, autorzy mają idealistyczny pogląd na sport. W jednej z sekcji kolarskich w Lublinie, młody zawodnik poszedł na rok do więzienia. Nie zawiadomiliśmy nawet władz, po wyjściu przyjęliśmy go bez słowa. Jest dziś wartościowym zawodnikiem i człowiekiem, a można mu było złamać życie. Podobnie z działaczami — przychodzą wprawdzie nie zawsze przygotowani do pracy, ale z sercem. Bardzo łatwo ich zrazić z oczywistą szkodą dla sportu, dla młodzieży. Artykuł kol. Wiśniewskiego „Lublin gola" spóźnił się o 2 lata, dziś w Lublinie nie ma już ligomanii, wejścia do II ligi za wszelką cenę. Zarzuty wobec prasy też płyną ze źródła idealistycznego. Dwustronicowy dodatek sportowy „Sztandaru Ludu" robi jeden dziennikarz, a dwóch innych pomaga mu lub nie, bo nie są do tego zobowiązani.

Red. Wiśniewski: — Jedni mówią, że mamy rację, inni przeczą. Jeżeli my przechyliliśmy proporcje, to prasa codzienna w działach sportowych też to robi, ale w drugą stronę. Za mało tam materiałów problemowych, prawie nic o złych rzeczach. Jeżeli w Lublinie już nie ma ligomanii, to teraz jest klasomania. Nie chcę rozszerzać dyskusji, ale powiedzmy sobie po cichu, czy naszych niektórych zawodników można uważać za amatorów? Mówiono tu, że sport to także presja załogi, społeczeństwa. Czy działacze muszą zawsze ulegać tej presji, czy nie powinni także narzucać kierunków działania, metod pracy, atmosfery?

Mjr Wiśniewski: — A co prasa zrobiła, aby podnieść rangę działaczy?

Red. Wiśniewski: — Nasze artykuły, to przecież nie był obraz całego sportu, ale określone wypadki w określonych środowiskach. I nie chodzi tu o mecz dyskusyjny „Kamena" — działacze, ale o samą istotę sportu, jaką ma spełniać rolę społeczną.

M. Ziemiński: — Zaczynamy grać w ping-ponga, każdy chce mieć rację. U nas nie ma zawodowców, a od zawodników wymagamy tyle, co od zawodowców. Przychodzimy na mecz np. „Motoru", płacimy za bilety i chcemy dobrego widowiska, niezbyt odbiegającego od cyrku czy rewii. Klub nie jest jedynym ogniwem wychowawczym, jego głównym zadaniem, to podniesienie sportu kwalifikowanego, w tym kierunku pójdzie uchwała GKKFiT, sport masowy to ogniska TKKF i inne organizacje. Czy większość działaczy ma czas na pracę wychowawczą? Czy klub ma warunki do prowadzenia takiej pracy? Nawet w nielicznych świetlicach sportowych brak ludzi do ich prowadzenia.

H. Wiśniewski: — My tu wszyscy mamy do czynienia przede wszystkim ze sportem wyczynowym, masowy to inna sprawa. Ale nas, trenerów i działaczy, „rozlicza się" za sport wyczynowy. Nic dziwnego, że to wpływa na wiele spraw. Problem sportu wyczynowego, to przede wszystkim problem dyscypliny, ale aby poznać dobrze te sprawy, trzeba tkwić w klubie, a nie patrzeć z zewnątrz. Mówiono tu, że oddziaływanie trenera na zawodnika jest znacznie mniejsze niż nauczyciela w szkole. Nie zgadzam się. Dla zawodnika klub to najczęściej właśnie trener, z którym musi mieć więź duchową. Lekkoatletyka to sport raczej spokojny, a jednak 50 proc. zawodników miało różne konflikty, zresztą nie tylko z prawem. Ale właśnie sport stał się dla nich oazą, tu znaleźli swoją osobowość. Tyle o trenerach, a warto wiedzieć, że w tej dyscyplinie otrzymuje on 600—800 zł miesięcznie, nie dostanie emerytury, wciąż brak pragmatyki, a wymaga się rekordów, idealnych zawodników. Polecam redaktorom pobyt na obozach — to wielkie studium psychologiczne, za kulisami stadionów także.

Red. Gański: — Cieszę się, że „Kamena" zapuszcza się w zawiłe rejony sportu. Koledzy chcieli naprawić zło, stąd ich artykuły, stąd dzisiejsza dyskusja. Obserwujemy przecież pogoń za wynikami, za awansem, a to rodzi różne konflikty. My w pismach codziennych nie chcemy uciekać od trudnych spraw, ale jednoosobowe obsady działów nie ułatwiają tej pracy. Smutniejsze jest to, że pisma specjalistyczne, jak „Przegląd Sportowy" czy „Sport", też wielu złych spraw nie poruszają. W pogoni za punktami nie możemy przechodzić obojętnie obok złych spraw lub je usprawiedliwiać. Wiemy, że gdy „Motor" lub „Avia" przegrają, w fabrykach w poniedziałki spada produkcja — i wzrasta, gdy wygrają. Bądźmy szczerzy — zawodnikom dajemy dużo a wydaje się, że władze sportowe i działacze wymagają od nich zbyt mało.

Mgr Łuckiewicz: — Ja z tej samej łączki, co sprawa „mistrza pięści". Moim uczniem (teraz w szkole mojej żony) był bokser A. Należał do grupy chłopców, którzy porwali karetkę pogotowia, skradli pistolet, potem obrabowali sklep... Ale on już był wciągnięty przez sport, tego dnia nie poszedł z kolegami, lecz na trening. No i dziś uczy się w technikum chemicznym, a nie siedzi w kryminale. A w ogóle to osiąganie wyników za wszelką cenę należy już do przeszłości, teraz powiadamy — osiągać wyniki, na jakie nas stać.

Mgr Tucewicz: — Nie stawiajmy Lubelszczyźnie za przykład wyników światowych czy ogólnopolskich. „Kamena" ma rację pisząc, że prasa zbyt mało albo wcale nie pokazuje wysiłków zawodników, ich pracy nad sobą, ich walki z różnymi przeciwnościami. W szkołach 2 godziny wychowania fizycznego, to stanowczo zbyt mało, w dodatku wf uważa się powszechnie za prawie nieważne. A to nie tylko sprawa wyrobienia mięśni, ale i charakteru. Mówimy o pracy w sporcie — zawodnikach, trenerach. A wielu działaczy stoi w miejscu, nie podnosi swoich wiadomości fachowych. W jednym z klubów prezes miał pretensję do zawodników, że mu się nie kłaniają na ulicy. Jeden z nich powiedział: jak mamy się kłaniać, jeżeli pana nie znamy, bo pan nie przychodzi na treningi, nawet nie wie pan, w jakich warunkach trenujemy. Zresztą warto się zastanowić nad sprawą, o której raczej się nie mówi, ale która istnieje i wiele psuje: konflikty pomiędzy działaczami a trenerami. Z różnych powodów: temperamentu, wykształcenia, uzyskania punktów...

Mgr Pawłowski: — To wykracza poza naszą dzisiejszą dyskusję, a i temat oderwany od realiów (!?).

Red. Dostatni: — Dziękujemy za udział w dyskusji, mamy nadzieję, że na następnych będziemy spotykać się periodycznie. Chciałbym wyjaśnić tylko jedno. Gdybyśmy pisali o metodach treningu, o punktowaniu rund bokserskich — to byłyby sprawy specjalistyczne dla specjalistów. Ale wydaje nam się, całej redakcji, że problemy moralno-etyczne nie mogą być zastrzeżone dla specjalistów, bo o jakich specjalistów tu chodzi?

WOJCIECH KAWIŃSKI

Etap

Tak lekko płonie trawa
pod niebem ogrodu
gdzie stało twoje drzewo

Tak spokojnie topnieje
zeszłoroczny śnieg
w cieniu starego domu

Tak przenikliwie
woła głos przypominając
o niespełnionej wróżbie

Tak jest już obco
w miejscu które będzie
twoim ostatnim etapem

Dębica

ZYGFRYD SZUKAJ

Przyszedł mnie zabić

Aleją w nocy zabił mnie oczami
Znęcał się Klepał po plecach
Częstował papierosem Szedł
w moim kierunku
Oferował śmierć wyrafinowaną
w cudacznym domu wariatów
Nic nie umiał
Nigdzie nie pracował
Przyszedł tylko po to żeby
mnie zabić
na starej ulicy Pośród nędzy

Zabić gdzie popadło
kiedy nie chciałem do
cudacznego domu wariatów

Koronowo

JERZY ZENON KUKURYK

Pole

Pole, — jak szorstka
dłoń matki,
kwaśny zapach zaczynu
drażniący głód
pluchą
piechura krokiem kulawym
rozorane
niespełnione
wzdęciem brzucha
bruzd paruje
macierzyństwem
złamanych oczekiwań
lustro i wzrok
odbity w strachu,
garb
słońca odrzuconego.

Lublin

Debiut

ANTONI WILCZKIEWICZ

Z cyklu

Kolorowe dziewczyny

Wymienię złoto
na nieładne dziewczyny
na zwykłych chłopców
na obrazy bez ram

wymienię złoto
śmiesznie tanio
na pokój bez ścian

Z drzew pozrywam garbate
liście
kryształy zmienię w bańki
mydlane
ozłocę błoto roztopionym
księżycem
a chłopców ubiorę w kostiumy
zmyślone
pomarańczowo — srebrno —
zielone

Nocne niebo oblokę w fiolet
parkiet w pokojach wymienię
na lustra
i zbiorę wszystkie nieładne
dziewczyny
w czerwonych rajstopach
by zatańczyły
Ciszę z trąbką Nino Rossa

Wymienię złoto
na nieładne dziewczyny
na zwykłych chłopców
na bramy bez domów

wymienię złoto
śmiesznie tanio
na rzeczy niepotrzebne
nikomu

Dębica

W SIEDEMDZIESIĄTĄ ROCZNICĘ URODZIN

Drogi Kazimierzu i takiż Andrzeju w 1 (słownie: n'eocenionej), a właśnie że jubileuszowej osobie.

Nareszcie wot Tiebie na. Znaczy — na nie wykręty. Ta karczma Rzym s'ę nazywa. Zaczajony alkoholik poezji już ostrzę sobie smak na kielich wypełniony treścią wybraną z najupojniejszych. W kielichu pływa kawałek zamrożonego księżyca. W kielichu deszcz i płatek jaśminu, jesienny wale liścia klonu przed stopą, struna drgająca niepokojem i umiłowanie kob'ety.

Prawda? Jakie to wielkie: świat. Jakie to małe: wiersz. Ale jak obraz atomu jest ogniskową kosmosu, tak te cztery linijki — zamykają? — otwierają widok na nieskończoność. Banalne słówko, ale toast przed nami. Kiedy go spełnimy, banał wraz z pustym szkłem opadnie. Na razie wiem, że istnieją ponaddźwiękowe samoloty. Ponadświetlna — tylko poezja.

Szukasz jej zawsze, ponieważ na dobrą sprawę secundum non datur. Nawet gdy się ją znajduje. Cóż dziwnego. Żadna jesień — nawet ta w niełasce, jubileuszowa — nie wyeliminuje zapotrzebowania na inny, wciąż inny co roku ton tych samych jej skrzypiec. I inne pory. Tylko w kalendarzu pory roku ciągną się korowodem. W człowieku są równocześnie. Odróżnić wiosnę od zimy? A ileż konwalii w zakwitłym śniegu o świcie, ile tęczy w ponowie.

Więc nie obrażaj się na tę siekierkę z kółkiem. Znasz serso? Fiut — i kółko chwytają inni, a Tobie zostaje czekanik, chyba nie zbędny ciężar przy wspinaczce na tatrzański granitowy maszt. A licho wie, czy się tam w końcu nie zaprószył jaki islandzki mech.

Ale chciałem Ci powiedzieć, że aczkolwiek w poezji czasów w ogóle nie odróżniana (pozostawmy to młodszym, dla których każda doba to etap w wewnętrznym doskonaleniu)... Co za „aczkolwiek". Właśnie dzięki temu jestem paseistą. Rejestratorem faktów. I wyraźnie dostrzegam Twoją obecność we wszystkim, co dotyczy poezji w Lublinie lat objętych moją dojrzałą pamięcią. A także te z Tobą rozmowy. Nie powiem, że zarzucałeś kogokolwiek naręczami wyznań o posłannictwie artysty, cierpieniu i rozkoszy tworzenia. Ale tylko z Tobą nie słyszało się pytania o opał na zimę, znajomości w kwaterunku i sposoby spędzania urlopu. To także był „krąg Kameny". Kameny, której współpracownikiem mogłem się mienić już w roku 1936. Bo już wówczas zaznaczyłem swoją obecność. W kąciku „Nie skorzystamy".

Ha, i byłbym się rozgadał. A chciałem tylko... Przepraszam, wiem, że dziś jesteś przeciwnikiem urodzin, świętowań, kalendarza, niemal samego Kazimierza Andrzeja Jaworskiego. Nie mogę jednak w dniu tak — przynajmniej dla mnie, jeśli nie dla Ciebie — uroczystym nie przyznać się do karygodnego przestępstwa licząc jednak nie tylko na sprawiedliwość, ale i wyrozumiałość Twego profesorskiego serca: tych kilka słów pisałem nie całkiem samodzielnie. Ściągało się co nieco z życzliwości i szacunku żywionych dla Ciebie przez wszystkich lubelskich ludzi pióra. To już niech będzie wszystkiemu winien

Zygmunt Mikulski

28 listopada

Listy od uczniów

PAMIĘTASZ, mój Drogi KAJ-u, kilkunastoletnich chłopców, którzy w latach dwudziestych i trzydziestych byli Twoimi uczniami w Państwowym Seminarium Nauczycielskim Męskim w Chełmie?

Przyszli do tej szkoły z najbiedniejszych środowisk wiejskich i miejskich, nieśmiali, nieporadni, obciążeni kompleksami niższości, niezdolni jeszcze złożyć poprawnie kilku zdań.

Gdy po raz pierwszy na lekcjach języka polskiego spotykali się z Tobą — nauczycielem tego przedmiotu, odczuwali przy każdej odpowiedzi skrępowanie. Wstydzili się swojej gwarowości, braków językowych i nie chcieli być śmieszni w Twoich oczach. I nic dziwnego. Od początku bowiem byłeś dla nich kimś znacznie więcej niż polonistą, mającym nauczyć zasad pisowni i reguł gramatycznych, zapoznać z historią literatury. Już wówczas cieszyłeś się sławą poety, tłumacza, pisarza, który wydaje swoje własne książki. Bardziej wtajemniczeni szeptali po kątach o Twoich socjalistycznych przekonaniach politycznych. Ale o tym mieliśmy się przekonać z biegiem lat.

Niemało miałeś, Profesorze, kłopotu ze swoimi „podopiecznymi", z którymi należało zacząć edukację od początku, a więc od zasad pisowni. O Tobie mówiono w owych czasach w Chełmie, że jesteś futurystą, co dla nas młodocianych znaczyło tyle, co „nuż w bżuhu", czyli precz z ortografią. Rozczarowanie przyszło jednak bardzo szybko, zaraz po pierwszych wypracowaniach klasowych, nad którymi spędzałeś noce, by wyłowić wszystkie „piura", „wrurzby", „chumory" i „himery". Kto wie, drogi nasz Przyjacielu, czy nie wtedy właśnie pojawił się w Twojej bujnej czuprynie pierwszy siwy włos... Wyrazem chyba ostatecznej rozpaczy była rymowanka, którą napisałeś wówczas dla swoich nastolatków, a zaczynająca się zwrotką:

Póki Józef wróży z róży,
póki król nie włóczy stróży,
Szóste, siódme, żółte pióra
ma tchórzliwa wójta córa.

Takich zwrotek było pięć albo sześć. Połknęliśmy tę rymowaną pigułkę na pamięć i wydaje się, że odniosła skutek na długie lata...

Zaczęło się w Chełmie...

ZDZISŁAW POPOWSKI

Myślę, że „najgorsze" przyszło w dwa, trzy lata później, gdy mieliśmy już za sobą lekturę Twoich pierwszych tomików wierszy: „Czerwonej i białej kochance", „Księżycowy mustang", i „Na granitowym maszcie". Było to dla nas pierwsze spotkanie z poezją współczesną. Z przejęciem deklamowaliśmy Twój „Manifest", zaczynający się od słów: *Nie dla was piszę wiersze opaśli paskarze, iż godnością obnoszący swój okrągły brzuch...*

Nie skończyło się jednak na czytaniu i deklamacji. Niebawem, ale jeszcze w tajemnicy przed światem, zaczęliśmy składać i dopasowywać pierwsze własne rymy. Najpierw o wiośnie, maju i gaju, o wschodzie i zachodzie słońca. Było też i serce w rozterce i miłość we wszystkich przypadkach. A później? O, to już cała historia, którą utrwaliłeś w swojej pięknej książce pt. „W kręgu Kameny".

Mówmy szczerze, Przyjacielu nasz, że początkowo nie zachęcałeś swojej młodzieży do pisania wierszy. Raczej do poprawnej, bezbłędnej prozy wypracowań szkolnych. Ale widzieliśmy błysk zadowolenia w Twoich oczach, gdy pojawiały się w kronice klasowej nasze, nieudolne jeszcze, utwory. Mówiłeś wtedy lakonicznie: „Całkiem nieźle" i potem znowu milczałeś długo. Aż przyszedł czas, że spadły na Twoje domowe biurko setki wierszy Wacka Mrozowskiego, Wacka Iwaniuka, Czesia Morawskiego, Wiktora Bazylewskiego, Ignacego Głąsiorowskiego, Stasia Turczyna, Czesia Twardzika i na dodatek kilka moich.

Cóż miałeś począć, uświadamiając sobie, że „wina" leży po stronie... nauczyciela. Bo skoro jest nim poeta, skutki nie dają na siebie czekać. Tak też było kilka lat wcześniej, gdy w Twoim kręgu wyrastali tacy uczniowie, jakimi byli Jan Szczawiej i Witold Kasperski. Patronowałeś ich debiutom, tak jak w następnych latach naszym na łamach pierwszych numerów „Kameny".

Szkołą literacką były dla nas Twoje uwagi i rady, Twoja prywatna biblioteka. Istne cudo na owe czasy! Z niej właśnie wędrowały do naszych rąk tomiki poetów Skamandra, Kwadrygi, Awangardy. Dzięki Tobie na małej, cichej prowincji wiedzieliśmy więcej o współczesnej literaturze niż młodzież z dużych ośrodków kulturalnych. Dyskutowaliśmy z Tobą na tematy nam bliskie w szkole, na ulicy, na zebraniu Koła Literackiego, a wreszcie w Twoim prywatnym domu. Ile cennych godzin traciłeś dla nas, czy potrafisz zliczyć?!

Pokazałeś nam wówczas całe piękno poezji rosyjskiej. Już wtedy bliska nam była twórczość takich poetów jak Błok, Jesienin, Majakowski, Achmatowa, Pasternak. Recytowaliśmy Twoje tłumaczenia poetów Kraju Rad na wieczorach literackich poświęconych twórczości bratnich narodów. Do dziś je pamiętamy, jakby to było wczoraj, przedwczoraj, a nie trzydzieści kilka lat temu.

Nie każdy pisze wiersze,
nie każdy spada jabłkiem na cudze kolana.
Oto jest spowiedź najszczerszą,
spowiedź największego chuligana.

Oto początek nie zapomnianego wiersza Jesienina w Twoim przekładzie. Po tylu latach recytuję z pamięci.

Nie zatarły w naszych sercach tego utworu i wielu innych lata burzy, gromów, klęsk. Były nam zawsze i są nadal bliskie, jak nasza młodość, w której Ty uczestniczyłeś co dzień, nie żałując niczego swoim uczniom.

To wtedy właśnie, drogi KAJ-u trafiły do naszych umysłów i serc poprzez wiersze idee miłości człowieka, idee sprawiedliwości społecznej, idee walki o lepsze jutro dla wszystkich.

Pamiętasz, jak szliśmy później razem w pochodach i Maja z wypustką czerwoną w butonierce, a przeciw nam były skierowane oczy prowincjonalnych patrycjuszy i kołtunów, którzy czymali się, gdy czytali nasze buntownicze wiersze.

Pamiętasz, KAJ-u, kilkunastoletnich chłopców, którzy w latach dwudziestych i trzydziestych byli Twoimi uczniami? Dzisiaj zrównali się oni wiekiem z Tobą, Przewodniku naszej młodości. Pracują dla swego kraju z taką samą pasją, jak kiedyś pisali wiersze. Niektórzy pozostali nadal wierni poezji, o czym świadczy ich dorobek w postaci wielu tomików wierszy. Ci natomiast, którzy odeszli od literatury, władają piórem w innych dziedzinach. I tak: Witold drukuje swoje prace z zakresu budownictwa mieszkaniowego, Wincenty z pedagogiki, Wiktor z ekonomii. Dawni kandydaci na nauczycieli szkół podstawowych są obecnie kierownikami centralnych placówek, profesorami wyższych uczelni, redaktorami w prasie i wydawnictwach, działaczami społecznymi i politycznymi, nauczycielami szkół średnich. Chyba jesteś zadowolony z osiągnięć swych wychowanków, bo w tym co zdobyli jest także i Twój niemały udział. Wszystko bowiem, drogi nasz Przyjacielu, zaczęło się w Chełmie przed czterdziestu i więcej laty...

Za ten czar...

IGNACY IGOŃ

PROSZĘ mi wybaczyć, Profesorze, śmiałość, która towarzyszy publikacji kilku obrazów z kalejdoskopu wspomnień. Owe pejzaże spod Chełmskiej Górki są dla mnie nadal świeże i pojawiają się najczęściej podczas pracy szkolnej.

Oto jesienna wycieczka z moją młodzieżą do Łagiewnik. Widok płonącego ogniska przypomina mi nasze szkolne pożegnanie lata na błoniach za Borkiem.

Widzę Pana pochylonego nad ogniskiem i odgarniającego fryzę z czoła. A opodal, zapatrzony w przestrzeń kolorową, słoneczną, Profesor Waśniewski — uśmiechnięty, w aureoli falujących włosów.

Dyżury w czasie przerwy przypominają nam Pana, przemierzającego szkolny korytarz. Na zamyślonej zazwyczaj twarzy mojego Profesora zapamiętałem cień zniecierpliwienia i bezradności, gdy zapytałem kolegę Domownika słowami: *co chcesz?* Zatrzymał się Pan wtedy przede mną i posłyszałem wypowiedziane dobitnie: *czego chcesz?*

Po przerwie, gdy był jeszcze gwar w klasie, zaczynał Pan mówić — cicho, bardzo cicho — i już po kilku słowach wracał spokój.

Zdarzało się, że podczas lekcji ktoś z nas Panu przeszkadzał. Wtedy, nie przerywając zwykłego toku zajęć, przywoływał Pan gadułę do porządku oryginalną wymowną „wstawką". Ten sposób monitowania przejąłem od Pana i dotychczas stosuję.

Czy Pan Profesor pamięta kolor papieru, służącego do okładania naszych zeszytów klasowych? Ja pamiętam. Czerwony. Dobrze też przypominam sobie atmosferę niepokoju, jaka panowała przed poprawą

Podczas omawiania wyników okresowej klasyfikacji nieodżałowany Józik Mazurek, próbując ratować swoją sytuację, powiedział prostodusznie:

— Panie Profesorze, Żeromski też miał dwójkę z matematyki.

Wtedy padła odpowiedź:

— Ale ty nie jesteś Żeromskim. Przyjdź do mnie po lekcjach. Jeszcze potrafię wyjaśnić z trygonometrii to, czego nie rozumiesz.

Z imprez szkolnych, oprócz koncertów naszej orkiestry, na które zwykle z Frankiem Kanią nosiłem kontrabas, najżywiej wspominam wieczór poezji Norwida i „Wesele" Wyspiańskiego. Szczególnie „Wesele"! Oczyma duszy widzę dziś na scenie Mrozowskiego, Popowskiego, Iwaniuka, Czekierdę, Berezeckiego... I widzę Pana wychylającego się podczas przerw zza kulis.

Proszę mi wybaczyć, że o tym wszystkim piszę. Te i inne wspomnienia, związane z Pańską Osobą i chełmską szkołą, towarzyszą mi w pracy szkolnej i w dużej mierze przyczyniają się do tego, że lubię swój zawód.

Gdy omawiam z młodzieżą utwory z dawnej lektury, wydaje mi się nieraz, że trwa niezmiennie czar chełmskiej szkoły.

Za ten czar składam Panu wyrazy głębokiej czci i wdzięczności.

Znany urywek „Pana Tadeusza" o Kokosznicy kojarzy mi się zawsze z aktualną w naszej klasie sytuacją:

Księżyc świeci, noc jest cicha,
Reformacką kroczy Michalski.

Gdy już mowa o Mickiewiczu, to pragnę wyznać, że wśród wspomnień z lekcji, poświęconych twórczości tego poety, najżywsze są te, które wiążą się z omawianiem „Pana Tadeusza" i „Dziadów". Szczególnie mocno przeżyłem Wielką Improwizację.

klasówek. I motywację ocen też. Niektóre zwroty do dziś wykorzystuje w swojej praktyce szkolnej, np. *Błędy ortograficzne zmniejszają wartość pracy.*

Dla łatwiejszego opanowania pisowni „trudnych" wyrazów zachęcał nas Pan do uczestnictwa w konkursach, których owocem było tego rodzaju rymowanie:

Ósma czwórka znów się spóźni,
bo mózg z żółcią się poróżnił;
próżno żółw za próchno pióra
od jaskółki chciałby wskórać.

Był Pan opiekunem naszej klasy.

Na liryczne wędrówki...

CZESŁAW TWARDZIK

ZLAT szkolnych w „Ćwiczeniówce", czyli w Szkole Ćwiczeń przy Państwowym Seminarium Nauczycielskim w Chełmie, pamięć przywodzi mi obrazy ludzi, z których wielu zniknęło potem z mojego życia, innych spotykałem później i tych „widzę" dziś wyraźniej. Poczciwy wąsal — woźny — pan Florian, koledzy, nauczyciele...

Ale lekcje języka polskiego i Ty, nasz Nauczycielu, to już dzisiaj dla wielu Twoich uczniów — legenda, dla niektórych — fragment ich biografii. Nasz kult dla Twojej umiłowanej Muzy podnosił Cię w naszych oczach do rangi jakiejś półmitologicznej postaci.

Każdy Twój wykład wyprowadzał naszą łakomą wyobraźnię i nasze mniej łakome umysły na nowe ścieżki, daleko wybiegające poza godziny lekcyjne i ściany szkolnego budynku. Do wyjątkowych lekcyjnych atrakcji należały płyty gramofonowe, które przynosiłeś do klasy, aby nagranymi na nie utworami zilustrować przerabianą lekturę, a jednocześnie zapoznać nas, jak należy poprawnie deklamować i interpretować utwory poetyckie.

Wiedzieliśmy, że sam piszesz wiersze, podawaliśmy sobie z rąk do rąk Twoje tomy poetyckie i wiedzieliśmy, że tam na Reformackiej 43, w Twoim mieszkaniu, do późnych godzin wieczornych świeci się

światło... To tam rodziły się pomysły, nowe strofy i nowe tomy, tam rodził się kształt późniejszej „Kameny". Pomimo wielkiego autorytetu i szacunku, jaki Cię otaczał, czuło się przyjacielską życzliwość w Twoich przymrużonych za szkłami oczach, kiedy ciepłym spojrzeniem ogarniałeś swoich chłopców. Przy całej swej godności miałeś wielkie poczucie humoru i nieraz błyskotliwym dowcipem kwitowałeś niezgrabne wykręty jakiegoś „podpadniętego" delikwenta lub jakieś pikantne a nie zamierzone sformułowanie. Wtedy brałeś udział w ogólnej wesołości, jak starszy kolega.

Atoli raz dostało mi się za zjadliwość, drogą której miałem okazję wziąć rewanż na moim klasowym antagoniście i rywalu. Kiedyś na lekcji tenże kolega, Ludwik Pałys, silny, przystojny dryblas, podał w wątpliwość trafność użycia — przez Jana Kochanowskiego! — zaimka w znanym wierszu, którego fragment brzmi: *Wdzięcznym cię tedy sercem, Panie, obdarzamy, / Bo nad nie przystojniejszej ofiary nie mamy.* Otóż mądral twierdził, że powinno być *nad Cię*. Uśmiechnąłeś się wtedy, wreszcie zarządziłeś głosowanie.

Padały różne „za" i „przeciw". Oczywiście zwyciężyło *nad nie*. Chcąc dobić niefortunnego lingwistę, syknąłem w jego stronę: *Bo nad Cię przystojniejszej ofiary nie mamy.* Huknął śmiech. Ale Ty, biorąc go już w obronę, odpaliłeś mi krótko: *O, słychać jeszcze jedną...* Chóralny wybuch śmiechu przypieczętował moją porażkę. Przez cały dzień czułem żal do Ciebie, mojego „bożyszcza" za ten cios zadany „bratniej duszy", której nie dostrzegłeś... Sowicie mi to nagrodziły późniejsze serdeczne dedykacje na Twoich ofiarowywanych mi książkach i tomach poetyckich.

Wielu z nas, porwanych Twoim słowem i przykładem, ruszyło za Tobą na dalekie liryczne wędrówki. Bo czyż można się było oprzeć tej pokusie, kiedy wołałeś w swym młodzieńczym „Manifeście":

I powiodę was wszystkich
na słoneczne wzgórze,
gdzie słońce się rozlało miodopłynną
ławą,
i napełnię krwią moją wam
serdeczne kruże,
i dam do piękna życia, dam wam
wszystkim prawo.

KAZIMIERZA ANDRZEJA JAWORSKIEGO

Wtedy

Matce

To było przed ćwierćwieczem,
Kiedy matka śpiewała melodyjnym głosem
i nie chodziła jak dziś z laską,
a ojciec chorych leczył
i mnie po twarzy głaskał.
Nie było czarnej na cmentarzu płyty
ni mnie poiła poezji cysterna,
choć rozumiałem zachód złotolity.
Jeszczem wtedy nie spotkał się ze swoim
losem.

Kochałem cyrk i Jules Verne'a.
Rosłem.
A później do nas przychodzili goście,
pomagałem krzątać się matce
lub wtuliwszy się w kąt otomany,
z lękiem i ciekawością
dłoń wyciągałem do książki w czerwonej
okładce
i nagle rósł przede mną świat zaczarowany.

Nie rozumiałem dziwnych rzeczy,
które się w czarnych rzędach wierszy
działy:
jakiś szaleniec czy upiór złorzeczył,
ksiądz gromił i dzieci płakały,
trzy świece się paliły, każda potem gasła,
upiór coś gadał do ciem i motyli,
zegar północ wybijał i na owo hasło
człowiek nóż wbijał w piersi
bełkocąc o jakiejś Maryli.
Nie rozumiałem — wszystko tajemnicze:
i te o życiu i o śmierci głosy.
Ale czułem, że ktoś mnie mocny porywa
za włosy
i patrzy na moje oblicze.

Minęły lata śmierci i lata narodzin
i świat mnie wprzęgnął w krąg surowych
ustaw.
Znam „godziny miłości" i setki „rozpaczy
godzin"
i wiem, jak cierpiał Gustaw.
Umiem już czytać z hieroglifów liter
najzawilsze meandry serdecznych herezji,
sam próbuję zestawiać słowa rozmaite
i co dzień się kąpię w poezji.

A jednak wiem, że nigdy już, nigdy, niestety,
nie wróci tamta chwila pierwszych
wtajemniczeń,
gdy chłopiec, urzeczony magią słów poety,
w zadumie chylił głowę swą nad
Mickiewiczem

Wariacje na słowa Norwida

Kto kocha, widzieć chce choć cień postaci,
bez której chwila każda wartość traci;
kto kocha, małe temu ogromnieje
i włos w pierścionku rośnie mu w nadzieję,
w knieję zapachów, których dech go mroczy;
kto kocha, patrzeć chce oczyma w oczy,
by w nich sondować miłowania głębię,
a z dala listów śle białe gołębie,
akty strzeliste swoich nienasyceń,
takty wieczyste serca wtajemniczeń;
kto kocha, widzieć chce choć cień obrazu,
choć radby całość żywą mieć od razu,
bo miłość strachu nie zna i jest śmiała,
cieniem się syci, ale pragnie ciała;
lecz ciało samo też jej nie wystarczy,
chce herb swej pani wypisać na tarczy
i śladem błędnym smutnego hidalga
olbrzymów zwalczać lub po gęstych algach
tropić Kolumba zdobywcze fregaty,
brać w posiadanie nieodkryte światy;
bo miłość strachu nie zna i jest śmiała,
ciałem się syci, ale to jej mało,
jedni pożąda, ale w ducha sferze,
w komet zamieci, w gwiezdnej atmosferze,
azyl rozkoszy nazbyt dla niej ciasny
i wszechświat cały to jej dom jest własny.

Nad Zielonym Stawem Kiezmarskim

Zielone stawu oko
uśmiecha się głęboko
mkną chmury po błękicie,
lśnią góry w malachicie.

Kiezmarski dumnie wbija
swe ostrze w miąższ niebieski
i miód słoneczny spija
lub mgieł porannych łezki.

A Durny wciąż się złości,
zerkając, gdzie Łomnica:
powszechna tajemnica —
kocha bez wzajemności.

Ona zaś kryje czepcem
wstydliwie czubek głowy
i chmurom cicho szepce:
„Daleko mój Lodowy".

„Jestem z wszystkich najmniejsza,
lecz wiem, żem najśliczniejsza" —
mówi Turnia Jastrzębia
i w stawie się zagłębia.

Ze zbiorków K. A. Jaworskiego: „W połowie drogi", „Na granitowym maszcie" „Stopy czasu".

Debiut u KAJ-a

CZESŁAW JANCZARSKI

W KSIĘGARNI Stanisława Zielińskiego w Równem w grudniu 1933 roku kupiłem pierwszy numer „Kameny". Zdziwiłem się niezmiernie, że pismo, drukowane w prowincjonalnej drukarni, ubogą czcionką, na złym papierze, łamane przez domorosłego drukarza — zawiera tak świetną treść. W „Kamenie" nie było prowincjonalizmów ani amatorszczyzny. Polowałem potem na następne numery, które czasem udało mi się zdobyć. Dzięki „Kamenie" zetknąłem się po raz pierwszy z poezją współczesną, awangardową — przede wszystkim Czechowicza i Przybosia — i zachwyciłem się tą poezją. W „Kamenie" wydrukowałem w roku 1935 pierwszy swój wiersz pisany „świadomie" („Wspomnienie dzieciństwa"). Potem drukowałem tam jeszcze kilka utworów. Oglądanie tych wierszy w ubogim, ale świetnym piśmie literackim zaliczam do najszczęśliwszych chwil w życiu.

W „Kamenie" Kazimierz Andrzej Jaworski umieścił recenzję swojego pióra o moim tomiku wierszy „Błękitna chustka". Recenzja była życzliwa, przychylna, mobilizująca młodego autora, a końcowe jej zdanie: „Błękitna chustka" pasowała Janczarskiego na prawdziwego poetę" napełniło mnie takim szczęściem, że nie marzyłem już o większym.

Kazimierz Andrzej Jaworski był dla mnie — tak sobie wyobrażałem — nieznanym, dalekim, życzliwym przyjacielem, ale również i symbolem (zafascynowania się poezją) i pierwszym mistrzem (ukierunkowania zainteresowań poetyckich, kształcenia smaku artystycznego, kultury słowa). Postać wcale nie mityczna, ale bliska — nauczyciel i przewodnik podczas lekcji, która odbywała się raz w miesiącu, przy lekturze „Kameny".

Różnie sobie młody człowiek wyobraża swoich mistrzów, których nie zna nawet z fotografii. Potem, w konfrontacji, przeżywa zazwyczaj rozczarowanie (czasem, ale to rzadko, bywa odwrotnie, takiego wrażenia na przykład doznałem poznając Czechowicza). Wyobraźnia, w takim wypadku (często zabarwiona przymieszką patosu) nakłada laurowy wieniec na czoło mistrza, upozowuje go w niezwykłym geście. A co się potem okazuje? Mistrz jest małego wzrostu, nosi niezgrabnie skrojony garnitur. Ale to jeszcze nic, jeśli ma płomienne oczy! Bywa i tak, że te oczy są ślepe, kalkulujące, a słowa apodyktyczne i suche jak wiór.

Kazimierza Andrzeja Jaworskiego poznałem osobiście dopiero w roku 1945 w Chełmie Lubelskim, gdzie znalazłem się jako uczestnik wakacyjnego kursu dla nauczycieli szkół podstawowych. Był taki jak go sobie wyobrażałem — daleki (ale już teraz bliski!) życzliwy przyjaciel, symbol, mistrz. Pasowała tu również przymieszka patosu (w najszlachetniejszym tego słowa znaczeniu). Jego przyciszony, jakby zwierzający dyskretnie tajemnice, trochę nerwowy głos, dobre oczy (jaki płomień!), umiejętność prowadzenia ciekawej gawędy, poważnej i żartobliwej, zawsze anegdotycznej i to wrażenie (które świadczy o autentyczności kontaktów poprzez „Kamenę"): wydawało mi się po paru chwilach rozmowy, że znam go już od wielu lat.

Po licznych konfrontacjach, które dały mi sporo rozczarowań, spotkanie w Chełmie Lubelskim z KAJ-em utwierdziło mnie w przekonaniu, że warto jest rozczarować się dziesięć razy, żeby raz wreszcie wyobraźnia się nie pomyliła. Wspominam Chełm dzięki K. A. Jaworskiemu prawie jak miasto rodzinne.

Rozmawiać z KAJ-em, dać się wciągnąć w jakże interesującą rozmowę, znaczy czasem — zapomnieć o godzinie odjazdu pociągu. O tym, że w kuchni gotuje się kolacja (woda wygotowała się w parówkach, a parówki popękały!). Tak to było pięknie przy pewnym spotkaniu w Lublinie na Bronowickiej w roku 1959.

Kazimierz Andrzej Jaworski jest dla wielu piszących wiersze, tak jak dla mnie, symbolem młodości poetyckiej. O jego wielkim, pięknym dziele niech piszą inni. Ja z okazji siedemdziesięciolecia (to nie prawda — KAJ ma zawsze 21 lat jak ja w roku 1933) poety i założyciela „Kameny" tworzę wiersz, którego jednak nie napiszę, bo konstrukcja jego jest z materii ulotnej, i kruchej, nazwana słowem wydać się może albo nieprawdziwa, albo konwencjonalna. Wiem, że jest w nim uczucie wdzięczności, miłości, wielkiego szacunku. I wiem, że lśni w nim błysk jak na szybie w rówieńskiej księgarni pana Zielińskiego, gdzie za witryną leżały pierwsze numery chełmskiej „Kameny".

Mój pierwszy wieczór autorski

NIE wiem, kto kol. Zygmuntowi powiedział o mojej noweli związanej z powstaniem. Zwrócił już wcześniej uwagę na naszą czwórkę, kiedyśmy gorąco oklaskiwali jego przemówienie na ogólnym zebraniu. Wiedział, że to nowicjusze, nie należący jeszcze dotąd do żadnej organizacji ideowej, a Unii tak samo jak i Polonii chodziło o powiększenie swoich szeregów. Tylko odnosiłem wrażenie, że prawica raczej polowała na głosy, gdy postępowcom zależało bardziej na jednostkach zdradzających radykalniejsze poglądy, a więc podatnych na uświadamianie ich we właściwym kierunku. Widocznie kol. Zygmunt uważał, że ze mnie można by ulepić przyszłego członka organizacji. Musiał jednak mieć do mnie zaufanie, choć znaliśmy się tak mało, skoro konfidencjonalnie zaprosił mnie na tajne zebranie, które się miało odbyć w końcu miesiąca dla uczczenia osiemdziesiątej szóstej rocznicy wybuchu powstania listopadowego, zaznaczając przy tym, żebym wziął ze sobą nowelę, którą będę mógł przy tej okazji wszystkim przeczytać. Podał adres, godzinę i umówiony sposób, w jaki należało dzwonić.

Czułem się tą propozycją bardzo zaszczycony. Imponował mi fakt, że mnie jednego z naszej czwórki dopuszczono do tego konspiracyjnego zebrania *) no i to, że mam na nim wystąpić ze swoją nowelą.

Z wielką trema nacisnąłem guzik dzwonka i za chwilę wpuszczono mnie do przedpokoju, gdzie zostawiłem płaszcz i czapkę. Kolega Zygmunt przedstawił mnie zebranym i zaprosił do długiego stołu, przy którym siedziało kilkanaście osób. Pito herbatę i symbolicznie wkładano do ust biszkopty, a przede wszystkim palono i z ożywieniem rozmawiano. Siedziałem onieśmielony i milcząc rozglądałem się po otoczeniu: przeważali koledzy w mundurach różnych zakładów naukowych i w cywilnych ubraniach, było i kilka koleżanek, niektóre znałem z widzenia. Gospodyni nieco starsza nie wyglądała na studentkę.

Po chwili kol. Zygmunt parokrotnie zadzwonił łyżeczką w szklankę, a gdy się uciszyło, w krótkich słowach zagaił zebranie, mówiąc o jego charakterze i udzielając głosu jednemu z kolegów, który odczytał zwięzły referat o powstaniu listopadowym. Potem padło z z różnych stron trochę uwag dotyczących przyczyn naszej klęski w tej walce i znowu przemówił koleżga Zygmunt. Jakże podobała mi się swoboda, z jaką się wysławiał, swada, którą podziwiałem już wcześniej na ogólnym zebraniu studenckim; słowa płynęły mu potoczyście, wiążąc się w energicznie wypowiadane zdania, zawsze znajdował właściwe, nie zatrzymywał się, nie zająkiwał, a jeśli czasem zawieszał głos, to czynił to celowo, by po krótkiej pauzie osiągnąć większy efekt w zakończeniu myśli. Ach, nie znałem jeszcze takiego mówcy! No i ta jego poprawna, nieskazitelna polszczyzna. Nawiązując do rocznicy, która nas tu zgromadziła, podkreślił, że zryw listopadowy nie był niczym innym jak tylko rewolucją, podobnie jak rewolucją były późniejsze powstania i wypadki r. 1905.

— Święcimy rewolucję — powiedział — my, młodzież postępowa i niepodległościowa, w niej widzimy jedyną drogę do zmiany życia politycznego i społecznego w Rosji i u nas. A w czasie wojny — zwłaszcza po klęsce, jak to było w przegranej z Japonią — ziarna rewolucji kiełkują bardzo szybko. I ani się spodziejemy, towarzysze — tu zatrzymał się czyniąc dłuższą pauzę — jak będziemy zbierać jej owoce. A teraz — kończył — oddaję głos towarzyszce Lühe'owej, która nam zareczytuje wiersz Marii Markowskiej „Krwawy siew".

Ta nieco starsza od studentów pani wstała (nie wiem czemu przypomniało mi się wtedy „Wesele", chyba dlatego, że jak Rachel otuliła się szalem) i pięknym nastrojowym głosem zaczęła: *Po polach błądzą duchy łez I śmierci plony garną.* Tak, to Rachela, bo mówiła z takim samym przejęciem i egzaltacją, jaką odczułem w słowach artystki w sztuce Wyspiańskiego, a mówiła doskonale. Pełen melancholii zrazu utwór o zapomnianych cichych smętnych grobach, o samotnym tułaczu i wygnańcu, pełen reminiscencji to z „Warszawianki": *Kto przeżyje wolnym będzie! Kto umiera — wolnym już!*, to z powstańczej piosenki: *W krwawym polu Orzeł Biały, Poszli nasi w bój bez broni!* kończył się dźwięcznym jak surmy bojowe finałem: *O szpadzie sen... i zbrojny czyn... To zemsty grom! to ludu gniew! Ha, strzałów grzmot!... ha, trąbki zew!* Skąd pochodził ten „zemsty grom" i „ludu gniew"? Prawda, przecież to „Czerwony sztandar" — pamiętam tę pieśń z dzieciństwa. Gdy p. Lühe'owa skończyła, zapanowała długa cisza świadcząca, że słuchacze wciąż jeszcze pod wrażeniem świetnej recytacji. Dopiero po jakiejś chwili odezwał się kol. Zygmunt:

— Dziękujemy wszyscy towarzyszce za naprawdę głębokie przeżycie, jakie jej zawdzięczamy. A teraz poprosimy kol. Jaworskiego, aby nam przeczytał swoją nowelę.

Drżącymi rękoma wyjąłem z kieszeni zmięte arkusze. Ogarnęła mnie szalona trema. Przecież to miał być mój pierwszy występ literacki. I jednocześnie teraz dopiero uprzytomniłem sobie w całej pełni swoje zuchwalstwo: po tak wspaniałej recytacji wobec wyrobionych starszych kolegów czytać te pierwociny, które wprawdzie w Sumach zyskały aprobatę pp. Bielskich, ale z pewnością były jeszcze bardzo słabe. Cóż z tego, że Stefan je chwalił, wiedziałem dobrze, że daleko im do poprawności. Spróbowałem więc rejterować: nowela właściwie nie nadaje się do czytania na tym zebraniu, bo tematycznie wiąże się z powstaniem późniejszym — styczniowym. Ale zakrzyczano mnie:

— A cóż to szkodzi! Tak samo była przecież walka, tak samo chodziło o wolność i niepodległość! Dalej kolego!

Nie było rady. Załamującym się z emocji głosem zacząłem czytać. Ale już po chwili opanowałem tremę i coraz swobodniej posuwałem się naprzód.

Pomysł zwolnienia skazanego na śmierć powstańca, aby się pożegnał z bliską mu osobą, zwolnienia poręczonego słowem honoru więźnia, że wróci na czas egzekucji, nie był w mej noweli oryginalny. Zapożyczyłem go z jakiegoś opowiadania angielskiego, które czytałem przed paru laty. Zmieniłem tylko okoliczności towarzyszące temu wydarzeniu, przeniosłem akcję na grunt polski, umiejscowiłem ją w czasie powstania 63 roku i bohaterowi kazałem się żegnać nie z narzeczoną, ale z matką. Zakończenie było jednakowe: w obu wypadkach słowa honoru dotrzymano.

Gdy skończyłem czytać, zapanowała cisza. Nikt nie klaskał ani w żaden inny sposób nie wyrażał swojego zadowolenia. Nikt też utworu nie ganił. Dopiero po dłuższej chwili p. Lühe'owa przerwała kłopotliwe milczenie. Podkreśliła uczucia patriotyczne zawarte w noweli, zwróciła uwagę na postawę moralną skazańca, który wierny danemu słowu nie skorzystał z możliwości ucieczki, że autor łatwo się wypisuje, i że pewno niejeden jeszcze jego utwór się usłyszy. Mówiła serdecznie, jakby pragnąc zatrzeć niemiłe wrażenie, które mogła na mnie uczynić rezerwa słuchaczy. Dopiero później zrozumiałem, dlaczego moja nowela nie chwyciła. Nie chodziło wcale o jakieś mankamenty natury formalnej, jak przypuszczałem w pierwszej chwili, choć można by się było i do nich przyczepić. Ale zasadniczą jej wadą był brak ładunku rewolucyjnego, pochodzenie bohatera ze strefy ziemiańskiej i zupełne pominięcie problematyki społecznej. Tak, zrozumiałem to poniewczasie, że moje „Na słowo honoru" nadawało się bardziej do przeczytania na zebraniu Polonii...

— Zaśpiewajmy coś teraz, koledzy! — zaproponował jakiś niski czarniawy student.

— Tylko nie za głośno, — zwrócił ktoś uwagę — żeby nas nie usłyszano.

— Tu mieszkają sami przyzwoici ludzie.

— Ale zawsze: strzeżonego Pan Bóg strzeże.

— Strzeżonego strzeże karaul!

— Nie wywołujcie wilka z lasu. Śpiewajmy, ale cicho!

Te rozmowy i uwagi uprzytomniły mi, że jednak to nasze zebranie nie jest bezpieczne. Gdyby tak naprawdę ktoś z żandarmów tu zajrzał...

Śpiewano półgłosem, czasem mruczano „Warszawiankę" — jedną i drugą, jakąś monotonną ponurą piosenkę: „Hej, co mi tam! Choć grozi wróc", kończącą się słowami: „Za nami pójdzie brat i syn. Aż ruszą się miliony. I znów grobowcem dawnych win Ofiarnych duchów błyśnie czyn I sztandar nasz czerwony", „Mazura kajdaniarskiego".

Rozstawaliśmy się późno wieczorem pojedynczo i z przerwami wychodząc z bramy, żeby nie zwracać na siebie uwagi. Mimo niepowodzenia autorskiego wracałem z zebrania w podniosłym nastroju.

W parę tygodni później miałem w domu niespodziewaną wizytę. Byłem sam, mama gdzieś wyszła. Ktoś zapukał i do pokoju wszedł kol. Zygmunt. Nie wdając się w dłuższą rozmowę od razu przystąpił do rzeczy:

— Chyba mi nie odmówicie, chcę u was przechować te papiery. Boję się teraz rewizji, a do was nikt nie przyjdzie. Schowajcie to dobrze i nikomu, nawet matce, nie mówcie o mojej prośbie. Najlepiej włóżcie to do jakiejś książki medycznej. — To powiedziawszy wsunął mi do ręki złożoną we wczoro gazetkę i nie czekając na moją odpowiedź, jakby z góry przekonany, że mu nie mogę odmówić, uścisnął mi dłoń i powiedział: — Dziękuję. Uważam was za naszego sympatyka.

Z ciekawością zajrzałem do tego druku. Nie pamiętam jego tytułu. Wydaje mi się, że był to numer nielegalnego „Promienia", ale z całą pewnością nie mogę tego twierdzić. Natomiast pamiętam dobrze, że jeden z artykułów poświęcony był konferencji socjalistów w Zimmerwaldzie, która wydała odezwę domagającą się natychmiastowego przerwania działań wojennych. Jak wiadomo, podpisał się między innymi z ramienia socjalistów rosyjskich Lenin, a polskich — Warski.

Schowałem gazetkę między swoje notatki z wykładów i nikomu o wizycie kol. Zygmunta nie opowiadałem. Po kilku dniach odebrał ją ode mnie. Żaden z nas nie przypuszczał, że już za kilka miesięcy, po rewolucji marcowej, zacznie całkiem legalnie wychodzić w Charkowie „Jedność Robotnicza" pod redakcją kol. Zygmunta i Żarskiego.

***) Ów pierwszy występ autorski, o którym pisze K. A. Jaworski odbył się w listopadzie 1918 r. w Charkowie.**

(Red.)

Lamus. Pod tym dachem przebywała Maria Skłodowska-Curie.

Bliskie a zaniedbane

MATYLDA WEŁNA

ZARAZ w pierwszych chwilach swej ostatniej wizyty w Polsce pani Ewa Curie-Labouisse powiedziała: *Dowiedziałam się, że przy ul. Freta otwarte będzie muzeum poświęcone mej matce. Rada bym przyczynić się do wzbogacenia pamiątek, jakie tam zostały już zgromadzone.* Dotyczy to, oczywiście, Warszawy, ale — gdybyśmy my, lublinianie, byli mądrzejsi...

Jak autorka powyższego cytatu pisze w swej znanej książce o matce — Mania Skłodowska odwiedzała Zawieprzyce w okresie swego dzieciństwa i wczesnej młodości. Wiązało się to z żelazną zasadą, iż dzieci Władysława Skłodowskiego obowiązkowo spędzały każde lato na wsi. Po uzyskaniu świadectwa maturalnego, rzecz jasna — ze złotym medalem, panna Skłodowska przyjechała do Zawieprzyc w ramach swego rocznego wypoczynku, który ojciec zarządził dla jej umysłu po ukończeniu szkoły średniej. Uganiała wówczas konno po *wspaniałych nadwieprzańskich łąkach* w ubraniach swoich kuzynów, z braku odpowiedniego własnego.

Zawieprzyce. Odległe od Lublina o niecałe dwadzieścia kilometrów. Tak bliskie, a tak zaniedbane. Piękny zakątek. Wyjątkowo malowniczy. Ze wspaniałych nadwieprzańskich łąk niewiele pozostało. Wyschły. Są to dziś przeważnie pola uprawne. Patrzy się na nie z wysokiego wzgórza, czołem zwróconego ku południowi, ku zielonym Kijanom. Na wzgórzu lipy. Stuletnie. O wypróchniałych brzuchach. Szczątek wiekowego parku. Na wschodnim jego skraju — ruiny klasycystycznej oranżerii z białymi kolumnami. W innym miejscu — kaplica. Ponadto są tu jeszcze ruiny ozdobnej bramy wjazdowej, stajen, wyniosła czerwonoceglana — maczuga zburzonego zamku i... niska, skromna, prawie chata — dworek, gdzie mieszkali właściciele majątku, odkąd pałac, podobno piękna barokowa budowla, legł w gruzach.

Piszę majątek, a to była chyba fortuna. Historia jej sięga połowy szesnastego wieku i wiąże się z nazwiskiem Andrzeja Zawieprskiego, podstolego lubelskiego. Na początku dziewiętnastego wieku nabył Zawieprzyce Antoni Ostrowski — senator, wojewoda Królestwa Polskiego, nabył wraz z przyległościami od sukcesorów Aleksandra Morskiego, podkomorzego przemyskiego. W okresie powstania listopadowego Zawieprzyce spłonęły, a ich właściciel wyemigrował z kraju. Dobra zaś jego zostały skonfiskowane i przeszły na rzecz skarbu państwa. W roku 1832 bierze je w dzierżawę rodzina Skłodowskich i utrzymuje tę dzierżawę aż po próg wieku dwudziestego, chociaż już w roku 1846 Ostrowscy wchodzą znów w prawne posiadanie swoich włości i trzymają je w swych rękach aż do reformy rolnej.

Nie miałoby może sensu fundowanie tablic, stawianie pomników, otwieranie muzeów wszędzie tam, gdzie Maria Skłodowska-Curie stąpnęła nogą. W Polsce byłoby takich miejsc sporo. Ale Zawieprzyce są szczególnie uprzywilejowane. Była to przez dobrych kilkadziesiąt lat siedziba rodu, co dla Lublina — szczycącego się Uniwersytetem imienia wielkiej uczonej i mającego jeszcze wcześniejsze i dość silne związki z tym rodem poprzez osobę wielce zasłużonego dla naszego miasta dyrektora Gimnazjum Lubelskiego — Józefa Skłodowskiego, dziada Marii — nie powinno być bez znaczenia.

Zawieprzyce są atrakcyjnym ośrodkiem na mapie turystycznej województwa. Na zabytkowym spichrzu o ciekawej sylwetce i wielce grubych murach tablica informacyjna głosi, że w nim mieści się punkt turystyczny PTTK. Rzeczywiście w tym budyneczku mieści się hotel, w którym dość często zatrzymują się wycieczki i indywidualni zwiedzający. Został on wyremontowany po wojnie. Mieściły się tu przez jakiś czas władze Gromadzkiej Rady Narodowej Spiczyn. Na pięterku, w ciasnym pokoiku, zagospodarowała się biblioteka gromadzka. Schludnie, ale księgozbiór maleńki. Niestety, gdy poprosiłem o jakąkolwiek książkę lub publikację na temat niegdysiejszej mieszkanki tej miejscowości, Marii Skłodowskiej-Curie, bibliotekarka odpowiedziała: *nie ma nic.* Było to latem. Wierzę, że do tej pory sytuacja uległa zmianie. Byłby to widomy efekt stuletniej rocznicy urodzin naszej wielkiej rodaczki.

Zeszedłszy z wysokich drewnianych schodków, natknęłam się wzrokiem na arkusz brystolu, zawieszony na ścianie. Tuszem wypisano: *Zawieprzyce po Zawieprskich i Ciecierskich, Firlejach i Gorajskich w 1671 roku przechodzą na własność Atanazego Miączyńskiego, wojewody wołyńskiego. Pałac, kaplica, brama wjazdowa, lamus pochodzą z XVII wieku...* I tak dalej. Cała historia. Z grubsza. Podobno był taki kierownik szkoły w Zawieprzycach, który pasjonował się ich przeszłością i malował takie afisze dla pożytku tych, którzy w swej ciekawości o Zawieprzyce zawadzą. Ale go już nie ma. Część afiszy poginęła. Na pozostałych grubą warstwą osiadł kurz.

Lamus. To właśnie ta chata, dworek, dom mieszkalny. Wielokroć razy przebudowywany. Ostało się ponoć z dawnych lat trochę kafli w ozdobnych piecach. Dom to obszerny i w części po dziś zamieszkały. Pod tym samym dachem mieszczą się także świetlica gromadzka oraz szkoła przysposobienia rolniczego. Wyraźny to zaczątek jakiegoś ośrodka kulturalnego, lecz zamysł poniechany jak gdyby w połowie. Bardzo, bardzo zaniedbane widziałam te sale, służące dobru publicznemu. Nie przypominam sobie, żeby tam wisiał chociażby portret Marii. U stóp wzgórza zamkowego przytulona do jego wyniosłej północno-zachodniej skarpy — wzniesiona w ostatnich latach piękna szkoła. Nie szpeci ona swoją prostą funkcjonalnością romantycznego krajobrazu — przeciwnie, wydaje się być z nim mądrze zharmonizowana. Może dobrze by było, żeby nauczyciele i młodzież umieli nawiązywać do przeszłości, do tego okresu, kiedy tu przebywała młoda panna, nasiężąca później, jak to w siedemnastym roku udowadniał Smoluchowski, do pierwszej trójki kobiet, które udowodniły światu, że umysł kobiety w niczym nie ustępuje umysłowi mężczyzny.

Nie znam się specjalnie na zabytkach sakralnych i nie o to mi chodzi. Ale z kaplicą w formie okrągłej baszty wiąże się ciekawa socjologicznie legenda zawieprzycka, którą opiewała Jagienka Śliwina. Podobno pewien malarz, wykonujący freski w tej kaplicy, w szczycie jej kopuły przedstawił aktualnego dziedzica porywanego przez diabłów do piekła za to, że ciemiężył lud pańszczyźniany. Za czyn ten zuchwały dziedzic zamurował malarza żywcem w czymś, co stoi na wysokim kopcu u podnóża góry, tuż przy wjeździe. Jest wreszcie grobowiec rodzinny Skłodowskich na cmentarzu w Kijanach, o którym także ktoś powinien pamiętać.

Jakież konkluzje? Czy nie warto się pokusić, żeby w Zawieprzycach znalazła się jakaś skromna stała ekspozycja fotografii, fotokopii dokumentów, książek obrazująca chociażby w dużym skrócie biografię i dorobek naukowy Marii Skłodowskiej-Curie? Do kogo skierować ten apel? Może pod adresem Muzeum Okręgowego, które w okresie II Międzynarodowej Kampanii Muzealnictwa mogłoby się zająć tym problemem? Pod adresem UMCS? Kuratorium? Biblioteki Wojewódzkiej? Zawieprzyce zyskałyby jeszcze jeden walor dla turysty pierwszorzędnej wartości.

Na cmentarzu w Kijanach — pomnik na grobowcu Skłodowskich.

(Zdjęcia autorki)

Dyskusja o konserwacji zabytków

FELIKS KANCLERZ

Nowocześnie i oszczędnie

Artykułem mgr inż. arch. Feliksa Kanclerza, naczelnika Wydziału Zabytków Architektury i Urbanistyki Ministerstwa Kultury i Sztuki, powracamy do naszej dyskusji o ochronie zabytków w Polsce, zainicjowanej w nr 12 „Kameny" publikacją o pozycji i roli konserwatorów wojewódzkich.

(Red.)

W NUMERZE 12 „Kameny" Ireneusz J. Kamiński opublikował bardzo interesujący i wnikliwy artykuł pt. „Konserwatorzy czy konserwatyści". Ten głos jest bardzo cenny i należy wyrazić uznanie dla bezpośredniego sformułowania wypowiedzi, objaśniających historyczne efekty działalności jakże nielicznej grupy ludzi pracujących w państwowej służbie konserwatorskiej. Dziwna jest zresztą ta służba dla kultury, której pracownicy, wykonując zadania wynikające z ustawy, a więc z aktu najwyższej rangi państwowej i społecznej uważani są właśnie za „konserwatystów", bowiem chronią *jakieś tam rudery i zawiaiska.*

Można by tu przytoczyć wiele przykładów z tej cichej walki o zachowanie dóbr kultury, w której, w razie zwycięstwa idei i uporu konserwatorskiego, zakończonego uratowaniem zabytku od zagłady, konserwator okrywa cień kogoś innego. Stara pocta w Augustowie np. skazana już była na rozebranie. Upór konserwatora spowodował, że podjęto odbudowę z tzw. środków konserwatorskich, gdyż nikt inny nie chciał interesować się tym obiektem. Gdy jednak na budynku położono dach, zgłosiło się wielu natarczywych klientów, każdemu z nich nagle zabytek ten był potrzebny dla jakichś tam zadań czy planów, oczywiście bardzo ważnych.

Zabytki należą do dóbr kultury. Stanowią one dokumenty jej rozwoju, a ich utrzymanie i zachowanie jest dokumentem naszej dzisiejszej kultury. Teza ta powinna być nie tylko motorem działania służby konserwatorskiej, lecz także ideą, rozumianą przez całe społeczeństwo. Tu jednak można zaobserwować, jak wielka jest różnica w zrozumieniu pojęcia dokumentu. Dokument osobisty przechowuje się pieczołowicie w portfelu i na ogół dba o niego, dokument historyczny w postaci zabytku, przeważnie nie jest szanowany, a jest on przecież dostępny dla wszystkich.

Istnieje np. pewien zabytek bardzo szacowny i cenny obecnie szczęśliwie już zakonserwowany. Przed kilku laty jednak padła propozycja, ażeby zezwolić na rozebranie jednej kondygnacji, co miało pozwolić na odbudowę i zagospodarowanie reszty za pieniądze, które chciano uzyskać ze sprzedaży cegły rozbiórkowej.

Wyjeżdżając do innych krajów jakżeż często z entuzjazmem podziwiamy tamtejsze zabytki, nie tylko te wielkie i bogate, ale nawet i skromniejsze. Będą to zabytkowe skromne czszardy (gospody) na Węgrzech, rybackie domki w Nesebar, domki rzemieślników w Solicie i wiele innych. A nasz Chochołów, Lanckorona, Sułoszowa, chałupy w Nieborowie, liczne karczmy i zajazdy?

Jak jest z tą liczbą zabytków u nas, która spędza sen z oczu — wielu niestety — ich adwersarzy?

Otóż w całym kraju mamy około 36 000 zabytków architektury i budownictwa — a rocznie teraz budujemy ponad 100 000 nowych domów mieszkalnych. Te nowe domy mają przeciętną kubaturę (mowa o budynkach miejskich) większą co najmniej 2—3 razy od przeciętnej kubatury większości naszych zabytków architektury. Obecnie posiadamy w Polsce z grubsza licząc ponad 4 300 000 budowli nieprzemysłowych. Wynika z tego, że zabytki architektury i budownictwa w Polsce stanowią 0,84 proc. całego naszego zasobu budowlanego. Chyba tych zabytków nie jest za dużo, a ich utrzymanie na pewno nie może być uważane za jakiś luksus!

Ciekawy jest też chyba fakt, że przeważająca część budowli zabytkowych często od wieków służy celom użytkowym, choć więc dawno zamortyzowały się w naszych pojęciach ekonomicznych, to jednak ich udział w naszym aktualnym majątku narodowym też coś znaczy. Tak więc i z materialnego czy gospodarczego punktu widzenia warto te zabytki nadal utrzymywać i użytkować, bo to jakieś twarde sztuki.

Często słyszy się, że koszt odbudowy zabytków jest bardzo wysoki. Prawda, lecz odnosi się to tylko do zabytków o bardzo bogatym wystroju artystyczno-architektonicznym, jak to jest np. z Zamkiem Wawelskim, z warszawskimi pałacami Wilanowskim i Łazienkowskim czy z kilkunastoma jeszcze innymi wielkimi i bogatymi zabytkami. Nie można jednak w rozumowaniu ekonomicznym sprowadzać do wspólnego mianownika Zamku Wawelskiego i normalnego pałacu, dworu czy kamienicy mieszczańskiej o stosunkowo niewielkiej kubaturze. Na podstawie sprawdzonych wyników finansowych, obrazujących koszty odbudowy kilkuset zabytków w Polsce w latach 1960—1966, stwierdzono, że przeciętny koszt odbudowy jednego metra sześciennego zabytku kosztował około 480 złotych. Mowa, oczywiście, o przeciętnym koszcie w skali kraju, bowiem w jednym obiekcie płacimy np. 200 zł, a w innym i 700 złotych.

Jest to chyba realne poparcie tezy, że koszt odbudowy zabytków dla społecznie właściwego wykorzystania nie jest wysoki. Teza ta jest podstawą działalności konserwatorów, którzy stosunkowo tanio oddają społeczeństwu przeważnie cenne artystycznie i architektonicznie obiekty do użytkowania dla różnych celów i potrzeb.

Innym elementem działalności służby konserwatorskiej jest jej nowoczesność. Cecha ta przejawia się przede wszystkim w szerokim naukowym podejściu do każdego obiektu zabytkowego. Przeprowadzane badania nie ograniczają się tylko do stwierdzenia takiego czy innego poziomu artystycznego czy architektonicznego. Bada się związki kulturowe odpowiedniej grupy zabytków, analogie i przyczyny powstawania określonych form — ogólnie rzecz biorąc rozszyfrowuje się wszystkie okoliczności, towarzyszące powstaniu zabytku w określonym czasie i miejscu. Do tego dochodzi bogaty tzw. asortyment badań technicznych. W tym celu angażowani są przedstawiciele wielu gałęzi wiedzy, często tworzy się coś w rodzaju konsylium lekarskiego dla ustalenia stanu obiektu zabytkowego i opracowania metod terapii zabiegowej. Przeprowadza się bardzo często skomplikowane badania techniczne, sondaże itp. A potym, przy wykonywaniu robót budowlanych, stosuje się coraz nowocześniejsze metody i formy pracy. Oczywiście, podstawowym kryterium jest zachowanie dla potomności jak najwięcej oryginalnych elementów zabytku. Dba się także o to, żeby nowoczesność użytkowania podkreśliła walory historyczne i architektoniczne zabytku.

W Kuźnicy św. Jana koło Siewierza zachował się w bardzo złym stanie niewielki romański kościółek kamienny. Podkopane fundamenty, rozspojone bloki ścian, zburzone sklepienia, zniszczona, choć dużo młodsza więźba dachowa — ot, jak to się mówi, po prostu „próchno". Jest to jednak jeden z nielicznych w Polsce, choć mały, ale dobrze zachowany w swych zasadniczych kształtach i fakturze zabytek romański.

W jaki sposób doprowadzono ten obiekt do stanu, że chyba przetrwa on następne 700 lat?

Kamienie ścian ponumerowano i rozebrano bardzo pieczołowicie. Wewnątrz murów wprowadzono żelbetonowe słupy z własnymi stopami fundamentowymi. Słupy te niosą zarówno zrekonstruowane w swej pierwotnej formie (choć innym materiałem) sklepienie wnętrza, jak i więźbę dachową, no i usztywniają ściany. Teraz tylko wtajemniczony wie, że w monumentalnych choć małych wymiarami częściach korpusu budowli tkwią nowoczesne konstrukcje. Tak jak to się dzieje w nowoczesnej chirurgii, która łączy złamane części kości specjalnymi metalowymi trzpieniami.

Czy wyżej opisany zabieg mówi coś na korzyść „konserwatorów"? Chyba tak, a można by takie przykłady mnożyć w setki. Nowoczesność techniki konserwatorskiej wypowiedziała się np. w usztywnieniu murów ceglanych kamienicy Książąt Mazowieckich na Starym Mieście w Warszawie, w reskaleniu podłoża pod kościołem Bernardynów, też w Warszawie, w stabilizacji rumoszu skalnego pod jedynym chyba w Polsce renesansowym dworem obronnym w Szymbarku nad Repą koło Gorlic, w zastrzykach wzmacniających kamienne i ceglane mury romańskiej kolegiaty w Tumie koło Łęczycy. I tak dalej i tak dalej.

Conservare necesse est — trzeba zachowywać, ocalać przed rozsypywaniem się. Ale i przed rozbieraniem, jeżeli są ważkie na ten problem całościowo, spokojnie i właściwie z pozycji teraźniejszości oraz przyszłości. Zabytki jako dobra kultury nie są własnością tylko tego narodu, na którego obszarze życia powstały i trwają — są one własnością całej ludzkości i składnikami oraz obrazem jej dziejów.

SZTANGA

EDWARD REDLIŃSKI

PO OBIEDZIE zaległiśmy w łóżkach, „żeby się sadełko zawiązało", jak mówi Władek. Tylko jedno, Tomkowe, posłanie pyszniło się przy oknie równiutkim kocem. Tomek spędza pół doby w żeńskim akademiku, przy łonie; pomaga jej kreślić projekty, smażyć naleśniki, w oczy jej patrzy...

Andrzej, rozwalony na piętrowym łóżku, nie wytrzymał poobiedniego bezwładu. Rzucił mi z góry słownik. — Zaczniemy od „qu" — poinformował.

Poprawiłem poduszkę, rozluźniłem pasek. Litera „q" znajduje się za połową słownika.

— Quatroczento? — zacząłem

— Odrodzenie włoskie, piętnasty wiek!

— Quebraczo?

Zastanawiał się.

— Jak to się pisze?

— Na turnieju nie będzie tablicy...

Patrzył w sufit, szukał punktu dla koncentracji. Za trzy dni, w niedzielę, miał startować w quizie Politechnika — Uniwersytet. Przestudiował już małą encyklopedię powszechną, słownik kultury antycznej, folkloru polskiego, dobrnął do 556 strony słownika wyrazów obcych.

Wpatrywał się w gwóźdź. Grzebał w pamięci uparcie. Przeczytałem

— Drzewo z rodziny nanerczowatych o bardzo twardym drewnie, pochodzące z Ameryki Południowej. Jest jednym z najbogatszych źródeł taniny.

— Taniny... — powtórzył — quebraczo, z nanerczowatych, tkanina...

— Quipo?

— Zapis sznurkowy u Inków!

— Mniej więcej. Qui pro quo?

— Pomyłka!

— ...albo nieporozumienie. Quod erat demonstrandum?

— O, kurdebelans — wtrącił się Władek, leżący z rozluźnionymi w relaksie mięśniami, według zaleceń Boba Walkera. — Ciszej, mózgowcy, bo włączę radio!

Andrzej zaciął się.

— Który był... — kombinował — demonstrowanie...

Władek się rozgadał.

— Dziś, Paweł, śpisz pod łóżkiem?

— Pod łóżkiem — zaśmiałem się.

Moda nakazuje powziąć przed egzaminem ofiarę na intencję pomyślności. Wpadło mi do głowy, żeby przespać się pod łóżkiem. Koledzy zza ściany bywali oryginalniejsi: raz w biały dzień zrobili rundę boso i w kalesonach wokół akademika. A niejaki Rubens spał w namiocie na trawniku.

— Quod erat — męczył się Andrzej. Pomogłem:

— Ku kropka, e kropka, de kropka... Wstyd, panie inżynierze!

—A ty, wiedziałeś?

— Nie, ale ja nie jestem mister intelektu. Napiął czoło. Poczerwieniał. Raptem go olśniło.

— „Co było do okazania"! Polskie ce be de o! Quod erat demonstrandum! — Ułożył się precyzyjnie na wznak, przymknął oczy, wbijał.

— Kuod erat demonstrandum... Kuod... To dobre. Trzeba zapamiętać. Przyda się.

— Tak, tak — przyznałem. — Przyda ci się w życiu.

Rozległo się pukanie i w drzwiach stanął... Zerwałem się z łóżka: szwagier Kazimierz! On tu, w Warszawie?!

— Dzień dobry — powiedział przepraszająco.

— Dzień dobry — odpowiedzieliśmy, przy czym Władek i Andrzej unieśli głowy dla obejrzenia gościa. Prezentował się nieźle, tylko płaszcz miał gabardinowy i po wiejsku do kostek. Podał nam rękę z chłopską obrzędowością. Zdjąłem mu płaszcz, usadowiłem na krześle przy oknie. Ujrzawszy dachy domów, przymknął oczy.

— Ale wysokość — szepnął z podziwem.

— A co sprowadza do stolicy — zagadnąłem, bezosobowo. Rabarbarskie „wy" rozśmieszyłoby chłopców, „ty" mogłoby urazić szwagra, o dwadzieścia lat starszego ode mnie.

— A... takie sprawy — Rozejrzał się po pokoju. — Ciasno tu u was...

Ważył, oceniał każdy przedmiot, po gospodarsku, szafę, stół, piętrowe łóżka, wieszak... Zatrzymał wzrok na plakacie. Nieboszczka Marylin prężyła się jak kocica. Przyjrzał się podłodze, żółtoszarej. Zapuszczonej. Znów zerknął na plakat.

— Odpoczywanie po wykładach, co? — Słowo „wykład" było zapewne jedynym jakie znał na temat studencki. Władek cicho parsknął śmiechem.

— Tak, po wykładach.

Szwagier nastroszył się nieufnie, pewnie wziął śmiech przeciw sobie. Ale wiedziałem, czym go rozgrzać. Obułem się.

— Za pięć minut wrócę...

Wróciłem z ćwiartką. Wypił sobie. Ja symbolicznie, z dna. Władek odmówił ze względu na czekające go ćwiczenia. Andrzej w ogóle wódki nie pije. Charakter szlifuje.

Z impetem wpadł do pokoju Tomek, jedyny wśród nas żonkoś. Śpiewający, pogwizdujący. W mgnieniu oka otaksował gościa, cisnął aktówkę na regał i już stał przed lustrem bez koszuli. „Nieech ci nie będzie żal..." — tenorkował z kremową pianą na policzkach. Goląc się robił miny do lustra i zerkał na szwagra. Redemptoryści... — mruczał tymczasem Andrzej — kongregacja pod wezwaniem Odkupiciela, założona przez Alfonsa Marię Liguori, celem... Redemptoryści — kongregacja — Liguori — wbijał. — Reductio ad absurdum...

Władek wziął głośny wdech i powstał. Zdjął koszulę, rozebrał się do slip, ubrał gimnastyczne spodenki, obuł trampki, Szwagier z zaintrygowaniem obserwował, jak rozwija skakankę i zaczyna hycać,

— A pan co, bawi się tak? — zaciekawił się.

— Mhm. Dla odprężenia — zbył go Władek.

Szwagier popatrzył wnikliwiej. Zdaje się w jego głowie powstała już odpowiednia hipoteza. Puścił do mnie oko, wymownie unosząc brwi.

Tymczasem Tomek zabrał się do wagrów na nosie. W momencie operacji milknął, i zaraz poszukując okiem następnego obiektu, kwilił: I listy moje spaal... Władek wyciągnął się na dwóch taboretach. Ujął czterokilowe hantle, zakreślił nimi koła w powietrzu. Na obłych barkach, na piersiach, pod pachami wyskoczyły nagle wężlaste sznury mięśni. Szwagier patrzył z niedowierzaniem. Nachylił się do mnie.

— Sportowiec?...

— Coś niby.

Odchrząknął. Przystąpił do rzeczy.

— A wiesz, Paweł, chciałbym u ciebie przenocować.

Tamci, jak jeden mąż parsknęli śmiechem. On, nic nie wiedząc o dowcipnym zbiegu okoliczności, poczerwieniał, lecz ciągnął dalej.

— Jakieś łóżko wykombinujesz?

— Na moim można będzie...

— A ty?

— On pod łóżkiem! — zarechotał Władek, aż ciężarki wysunęły mu się z rąk na podłogę. Szwagrowi oczy się zwęziły. Wyjaśniłem przezornie:

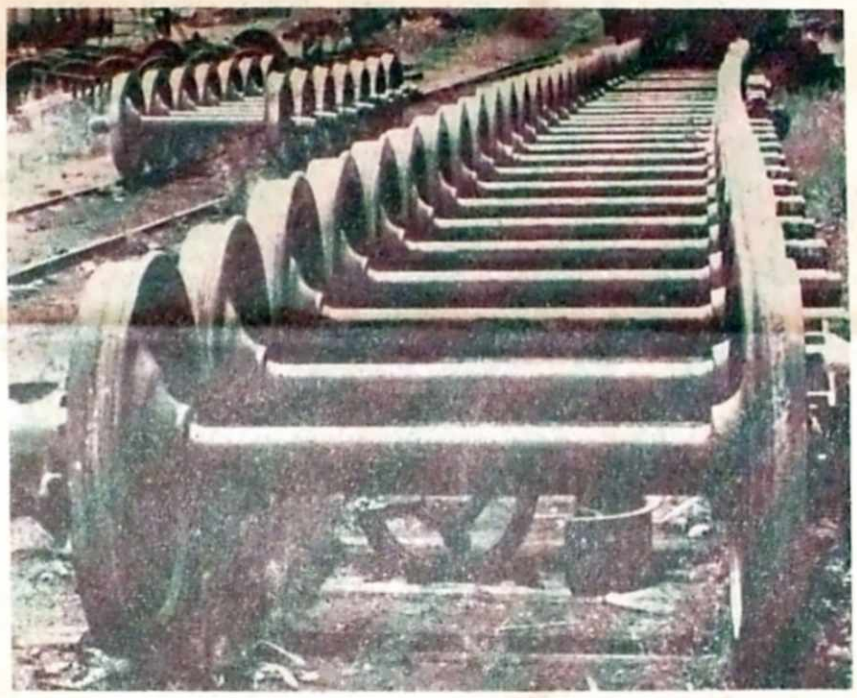

Fot. R. Sieńko

— Wygłupiają się, żartują.

Jeszcze raz łysnął okiem w stronę Władka.

Ten wciągnął na głowę specjalną czapeczkę z pętlą do zawieszania odważnika. Pochylił się, zakręcił głową. Według Zakrzewskiego, obwód szyi powinien wynosić 38 procent obwodu klatki piersiowej. Przy wdechu Władek mierzy w klatce 110 centymetrów, winien więc nosić koszulę numer kołnierzyka 42. On nosi 37. Szyja jest jego słabym punktem.

Tomek skończył z wągrami. Stanął tyłem do lustra i obserwując odbicie w ręcznym lusterku, jął podcinać sobie włosy na karku. Szczękając nożycami, zapytał:

— Ej, pany, był który na „Kobiecie z wydm"?

Był Andrzej. Tomek wyznał.

— Film dobry, ale za ponury.

— Możliwe — mruknął Andrzej lekceważąco. — Na pewno dla barana za ponury.

— Czemu on do diaska, nie wylazł w końcu z tej jamy? — zastanawiał się Tomek z rozwartymi w powietrzu nożycami. — Ja na jego miejscu namówiłbym dziewczynę do ucieczki... Potem obmyłbym ją z piachu i wziął do szerokiego łóżka.

— Imbecyl — ocenił Andrzej interlokutora. — Nic a nic nie pojął metafory.

— Jakiej metafory?

— Człowieku; każdy siedzi w swojej jamie i odwala piach, każdy swój piach po swojemu, nie rozumiesz tego? — wykrzykiwał, jakby ukłuto go w odcisk na śródmóżdżu. — I nie ma ucieczki z tej jamy. Rozumiesz?

— Odczep się — poprosił łagodnie Tomek.

Andrzej pooglądał sufit. Wrócił do słownika.

— Rhinoskleroma — przewlekłe zakaźne schorzenie błony śluzowej nosa, krtani. Rhino-skle-roma...

Władek wytoczył spod łóżka sztangę, koła miała betonowe. Odlewaliśmy je z cementu, w tekturowych formach. Położył się na taboretach. Wyciskanie zaczął od czterdziestu kilogramów.

Szwagier nie spuszczał zeń oczu.

Władek jest zdania, że człowiek współczesny, popadając w kult umysłu, degeneruje się fizycznie. Ileż poniżeń cierpią intelektualiści z powodu cherlactwa. Wyjdzie ci taki poecina ze spotkania autorskiego, nadęty oklaskami, i w pierwszej przecznicy byle chłystek w tyłek mu nakopie. Cherlactwo brydżowe! I niby pogarda dla siły. A kobiety, te istoty, co cenią tak u mężczyzn dowcip, dystynkcję, delikatność! W tangu prawie każda wciska mi się w łapy. Żartuje z bicepsów, a — wciska się — stwierdza Władek. Jednakże nie kobiety są tym powodem, dla którego kulturystyzuje po dwie godziny dziennie i hartuje kanty dłoni na cegle. On marzy o roli tyrmandowskiego Złego. Nie przegapił ani jednego westernu wyświetlanego w Warszawie. Z kina wychodzi z wysuniętym podbródkiem, z rękami czujnie zwisającymi przy biodrach i kieruje się w najciemniejsze uliczki. Marzy o spotkaniu z szumowiną. Władkowy dramat polega na tym, że jest barczysty i... nikt go nie zaczepia.

A teraz założył większe koła i szykował się do podrzutu. Szwagier przyglądał mu się z zawiścią. Przeczuwałem, co chce uczynić.

— Można spróbować? — zapytał drżąc z przejęcia.

Władek popatrzył krytycznie. Gość nie prezentował się imponująco. Szczupły, chudy. Skąd Władek mógł wiedzieć, że ten człowiek przed piętnastu laty był pierwszym gierojem w Guzowie. Kiwnął głową z ciekawością. Szwagier zdjął marynarkę, rozkraczył się przed sztangą. Ujął drążek w dłonie.

— Ile to waży?

— Osiemdziesiąt...

Andrzej przyglądał się znad słownika z ironicznym uśmieszkiem.

— Szkoda pańskiego zdrowia — powiedział całkiem życzliwie. — To nie pana specjalność.

— Czemu nie moja. Ja robię w transporcie — odrzekł szwagier schylony. Popatrzył poziomo na kaloryfer — i westchnął. Nie mógł zdecydować się na szarpnięcie. Wiedziałem już, że nie da rady.

— E tam, po co się mocować — perswadowałem delikatnie. — Po wódce niezdrowo.

Władek poparł.

— Fakt. Ja po wódce i pięćdziesiątki bym nie podrzucił.

— A ja największą siłę mam po wódce! — odciął się szwagier i podniósł sztangę do kolan, badając jej ciężar.

— Drobiazg — oznajmił.

Skurczył się, napiął w bezruchu — i szarpnął! Właściwie miałby sztangę na piersiach, gdyby wszedł pod drążek głębszym przysiadem. A tak — lewa ręka załamała mu się w przegubie, sztanga runęła, betonowe koło się rozprysło. Szwagrem rzuciło na łóżko. Sąsiedzi z dołu natychmiast zaalarmowali, stukając szczotką w naszą podłogę. Władek ze złością kopnął trampkiem okruchy betonu.

— Ja niechcący — sumitował się szwagier, czerwony ze wstydu. — Ja mogę zapłacić...

Andrzej przypomniał: — A mówiłem, nie pana specjalność.

Szwagier nie przyznawał się do klęski.

— Za drugim razem na pewno bym podniósł. Ja, panowie, brałem pod pachę dwa worki stukilowe... — Domagał się uznania. — Ja pana przepraszam za ten wypadek.

— Głupstwo — tuszowałem konfuzję. Pogadajmy lepiej, co słychać w Guzowie...

Był zły jak worek os. Przegrał na całej linii. Uczepił się Władka.

— A pan ile podrzucasz najwięcej?

— Dziewięćdziesiąt.

— Dziewięćdziesiąt? Co to jest — machnął lekceważąco ręką. — Ja kiedyś, panowie, pod pachy dwa worki...

— Świetnie! — odpalił nerwowo Władek. — Ale było, minęło, szkoda pańskiego języka!

— No no, jak pan tyle przecierpisz co ja, to i pięćdziesiątki nie ruszysz.

Andrzej jakby na to czekał:

— Wojna? Okopy? Kazamaty? — zadrwił. — Zapałkę na czworo?

— A wojna, chłopczyku — odrąbał szwagier. — Siedzisz tu jak u Pana Boga za piecem i jeszcze się mądrzysz!

Andrzej poczerwieniał.

— A pan? Aha, wiem! Obowiązki! Żona, dzieci! Podatki, nieurodzaj! Tak?!

Tomek czyścił buty. Słysząc te impertynencje, podniósł głowę.

— Ty, filozof, odczep się od gościa!

Andrzej znalazł coś i dla niego.

— Ty też niebawem się rozkwękasz! Za rok! „Ratunku, jak mi ciężko! żona, dziecko, mieszkanie ciasne!" Kanarku głupi!

— Stulże pysk — poprosiłem go ostro.

— Cholera, szlag mnie trafia, gdy patrzę, jak ludzie sami lazą w biedę i jeszcze domagają się współczucia od innych. „Jakąż odpowiedzialność dźwigam na moim stanowisku!" — przedrzeźniał Andrzej wyimaginowanego przeciwnika. — Albo: „Oj, wej! pomóżcie, mam dziesięcioro dzieci!" To po diabła lazł na to stanowisko, po co dureń napłodził tyle dzieci!

— Pan jest nienormalny — osądził go szwagier dobitnie.

— O, pan za to pokazał typową normalność! „Mierz siły na zamiary", co? Zesram się, ale dźwignę! To jest normalność?!

— A uzda, co ją pan sportowiec na głowę zakładał, może to normalne? — odparł szwagier.

— A normalne! Bo Władek wie, czego chce. I robi, co lubi.

Tomek wskazał na Andrzeja palcem i parsknął:

— Ty — rhinoskleromo, redemptorysto! Może i twoje wkuwanie słowników jest czymś normalnym?

— Żebyś wiedział. Bardziej normalne niż twoje kreślenie projektów za Magdę.

— Ożesz ty.. sobku!

— Ja sobek? Tyś sobek! Dla niej kreślisz? Sobie kreślisz, żeby mieć jej wdzięczność! Upajasz się swoim poświęceniem. A ona, jeśli jest tępa, niech nie lezie na polibudę i nie zamęcza innych swoją tępotą. Niech cegły podaje.

Nie rozumiałem Andrzeja: potępiał w czambuł wszystko i nic nie proponował.

— Więc twoim zdaniem — spytałem — człowiek powinien chcieć minimum i dawać z siebie minimum?

Zastanowił się.

— Nie, nie minimum. Ale powinien wiedzieć jasno, czego chce. Bo prawie wszyscy wiesz co robią? Nie mają własnych ideałów, nie znają swoich upodobań, tylko pędzą za standardem. Dopędzają czołówkę. Mieszkanie, meble, kształcenie dzieci, samochód — wciąż pogoń za czołówką! Ślepo, aż do śmierci!

— A co innego mają robić? — odparłem. — Lepiej w tej pogoni spalać się pełnym ogniem niż leżeć i butwieć...

— ...jak stryko Filip — poparł mnie znienacka szwagier.

— Właśnie! — To był dobry przykład. W trzech zdaniach powiedziałem o mym stryju, chłopskim egzystencjaliście. Andrzej zaciekawił się.

— On tę swoją biedę klepie z musu czy z wyboru?

Nie, stryjko Filip świadomie wybrał swoją dolę. Powiedziałem to. Andrzej był zachwycony.

— Naprawdę? Człowieku, toż to król życia! Nie życie nim — on życiem rządzi!

Władek wyznał swoje:

— Król dziadów, nie król życia. Ja tam planuję urządzić się niebogato, ale i niebiednie. Dobrze zarabiać, nie przepracowywać się, nie ślęczeć nad fuchami po nocach.

Andrzejowi twarz poszarzała z obrzydzenia — wypiął tyłek i wskazując się palcem wrzeszczał: — Tu mam wasze cele! Ambicje! Przepychanie się o stanowiska, wydzieranie nagród! Łgarstwo to, ohyda! Durna ślepa pazerność na wszystko, nawet i na gówno, gdyby było modne!

— Uspokój się, sieroto — łagodziłem.

Szwagier trącił mnie w ramię. — Pójdę już... — szepnął. — Trudno, przenocuję u ciotki, w Rembertowie...

— Ależ naprawdę będzie wolne łóżko.

— To nic.. ja jakoś...

Wstał.

— Proszę nie uciekać — zreflektował się Andrzej. — Przecież nie chcieliśmy pana obrazić.

Szwagier ubrał płaszcz, podał im rękę nie patrząc w oczy, mrucząc coś nieokreślonego. Wyszedłem z nim na korytarz. Przy schodach odwrócił się. Zakręcił palcem na czole.

— Pss... Obydwaj... Tylko ten żonaty jakby do rzeczy...

Uścisnął mi dłoń, lecz przypomniał coś sobie i przyjrzał mi się nieufnie.

— A z tym łóżkiem, Paweł, to serio?

— Serio — odrzekłem, nie mając sił skłamać.

Kamena str. 9

„Wojna i pokój"

MARIA BECHCZYC-RUDNICKA

JEST rzeczą iście zadziwiającą, do jakiego stopnia uporczywie trzymają się naszej krytyki filmowej pewne banały. Z nich najbardziej chyba drażni namolne stwierdzanie, że ekranizacja tej czy innej wielkiej powieści nie przyniosła całego jej bogactwa. Dokonano tego „odkrycia" przy „Popiołach", przy „Faraonie", a oto przy wyświetlaniu u nas „Wojny i pokoju" Siergieja Bondarczuka ten i ów kolega recenzent zapomina, iż trzeba się liczyć z możliwościami fakturalnymi gatunków artystycznych i że ogólna niewydolność gatunku filmowego w czytelnym przekazywaniu finezji intelektualnych nie powinna być źródłem zarzutów stawianych poszczególnym dziełom filmowym. Wybaczcie — „la plus belle fille du monde ne peut donner que ce qu'elle a".

Powstaje wszakże pytanie, czy „Wojna i pokój" Bondarczuka jest „piękną dziewczyną" z rodu filmowego? Wydaje mi się, że tak. Oczywiście przede wszystkim dzięki samemu Tołstojowi. Bo film ten nie jest „wariacjami na temat", lecz wyciągiem audio-wizualnym, rezultatem pieczołowitej, pełnej pietyzmu selekcji wątków, faktów, zestawień postaci. Szereg poważnych krytyków i wielu widzów znających dogłębnie powieść wyczuło w filmie jej klimat. Zaskoczeniem tedy było dla mnie krańcowo negatywne stanowisko, jakie zajął w „Polityce" Zygmunt Kałużyński, któremu też niby zależało „na odtworzeniu ducha Tołstoja", a który znajduje tego ducha w filmie „nadspodziewanie mało".

Tylko że Z. Kałużyński zastanawia się przy okazji, dlaczego Puszkin jest przez Rosjan tak szanowany, „mimo że jego twórczość rysuje się w naszych (czyich? — M. B.-R.) oczach jako seria półfantastycznych nowel, na tematy raczej towarzyskie". A „Demon" Lermontowa wygląda Kałużyńskiemu „na pseudobilijną pretensję". Cóż, każdemu wolno mieć swój punkt widzenia w literaturze i sztuce, ale wobec jawnej niewrażliwości Kałużyńskiego na niektóre ich regiony, czy nie byłoby z jego strony skromniej nie zabierać w nich głosu, szczególnie w imieniu jakiegoś bliżej nie określonego ogółu („my", „nas", „nam"...).

Skoro jednak głos zabrał, warto może przeciwstawić mu swoje zdanie.

Tak, istotnie główną myślą Tołstoja było, że *jednostki, które wyobrażają sobie, iż kierują historią, są w gruncie rzeczy jej marionetkami, zaś kroczy ona naprzód dzięki duchowi trwania mas oraz — niekiedy — wskutek przypadku, którego powody są ukryte dla uczestników*. Tę myśl, rozwiniętą całkowicie w t. III i IV (a nadającą się do żarliwej dyskusji w świetle dzisiejszych kontrowersji światopoglądowych), jakże można było wyraźniej uplastycznić w pierwszej i drugiej części filmu, jeśli nie wstrząsającym, prawdziwym obrazem zamętu i klęski w bitwach pod Schöngraben i Austerlitz i przeciwstawieniem jej chociażby znakomitych epizodów bohaterskiej wytrwałości baterii kapitana Tuszina, jednego z ofiarnych maluczkich? Nawiasem mówiąc, Tołstoj na długo przed Remarque'em powiedział prawdę o wojnie, bez upajania się bohaterszczyzną.

Obrazy batalistyczne S. Bondarczuka zafrapowały mnie i samą fakturą. Interesujące są w nich przejścia od „gobelinu" czy sztychu, od widzenia historycznego, do jakby retrospektywnego uaktualnienia. Z wieloszeregowych kolumn wojennych, spłaszczonych w dalekich niebieskawo-zielonkawych szarzyznach, wyłaniają się nagle bryłowate, żywe postacie konkretnych żołnierzy, śpiewających chwacką piosenkę ludową „aż chłop austriacki zawoła: *Hoch die ganze Welt!*

Taka jest w dwóch tomach powieści i w dwóch częściach filmu ta wojna. Ale powieść nazywa się „Wojna i pokój". I pokój. Ani w książce, ani w filmie nie jest to, Kolego Kałużyński, odtworzeniem li tylko *scen towarzyskich, życia na dworze (?), wzruszających obyczajów dawno minionych*, w stylu muzealnym. Na początku części trzeciej tomu II pisze Lew Tołstoj m.in. te słowa: *Życie tymczasem, prawdziwe życie ludzi ze swymi istotnymi sprawami zdrowia, choroby, trudu, wypoczynku, z zainteresowaniami myśli, nauki, poezji, muzyki, miłości, przyjaźni, nienawiści, namiętności — toczyło się jak zwykle, niezależnie i poza politycznym zbliżeniem czy wrogością do Napoleona Bonaparte i poza wszelkimi możliwymi przekształceniami*. Otóż wyrażona tu myśl (odpowiadająca w jakimś sensie ówczesnym warunkom wojny) łączy się organicznie z główną myślą pisarza sformułowaną wyżej przez Kałużyńskiego. Dlatego wytykanie „stylu muzealnego" w scenach obyczajowych jest bez wątpienia nieporozumieniem. Realistyczna powieść Tołstoja stała się siłą rzeczy źródłem filmu realistycznego, a skoro tak jest, należy konsekwentnie oczekiwać od niego ukazania prawdziwych ludzi epoki w ich prawdziwym życiowym otoczeniu. Czyżby antyestetyczne niechlujstwo miało nadać tej konwencji scenograficznej lepszy styl?

„Wojna i pokój" jest, rzecz prosta, filmem przeznaczonym głównie dla odbiorcy radzieckiego. Lecz znajduje i będzie znajdować rzesze chętnych odbiorców również wszędzie za granicą, ponieważ faktem pozostaje, iż widz masowy, którym kinematografia stoi, nie garnie się do filmów udziwnionych. A więc, jak się rzekło, film Sergiusza Bondarczuka jest w zasadzie realistyczny. Jest on jednak zarazem niepozbawiony pociągnięć neorealistycznych. To wzajemne przenikanie dwóch stylów miało dla mnie swoisty urok (przypominam powyższe uwagi o wyłanianiu się z tła oddziałów wojskowych). Zręcznie stosuje reżyser metafory plastyczne (zbliżenie starego dębu, oczy zaszczutego wilka...) Bardzo celnie operuje obrazami przyrody, zwłaszcza w drugiej części stanowią one nastrojowy, poetycki podkład dla stanów ducha głównych postaci epopei (droga Andrzeja w wiosennym lesie). Nie mam też nic przeciwko zganionym przez kogoś scenom symultanicznym (Natasza w sypialni matki i gabinet Bezuchowa), jest w nich coś z nowoczesnego nawrotu do malarstwa średniowiecznego.

Kogoś znowu raził komentarz słowny, mówiony u nas (pięknie) przez Gustawa Holoubka. Czemu? Narrację czy też wypowiedź filozoficzną na tle działania się filmu w tym miejscu „niemego" można na pewno uznać za bardziej artystyczną niż interwencję obcego sztuce narratora na deskach scenicznych.

Pełne wyrazu są sceny śmierci starego hrabiego Bezuchowa (co za śpiewy!) i Lizy Bołkońskiej (przypomniało mi się tutaj „Pożegnanie z bronią" Hemingwaya) i hulanka oficerska (Dołochow na parapecie okna!), i scena pojedynku Pierre'a (ta twarz Dołochowa żującego śnieg!), i pożegnanie starego despoty Bołkońskiego z synem, i Natasza na balu, i rosyjski jej taniec w dworku wuja, i zaręczyny z Andrzejem, i rozpacz po przygodzie z Anatolem. Cóż za świetne charakterystyki postaci i środowisk czynami, postępkami, komentarzem słownym lub wizualnym!

Wydaje mi się, iż dzieło Bondarczuka to m. in. ciekawa próba zastosowania do filmu faktury powieściowej. Stąd rozlewność. Bondarczuk wyeliminował słusznie szereg wątków (sprawa Soni i Mikołaja, Anatola Kuragina i Marii Bołkońskiej, Natashy i Denisowa)... Co by jeszcze należało usunąć? Chyba sceny polowania — czy musi być polowanie w każdym monumentalnym filmie?

Gdyby się dało omówić tutaj osiągnięcia aktorskie, no to trzeba by było wymienić całą obsadę ze statystami włącznie. Najwięcej się podobają: Ludmiła Sawiljewa (Natasza), Siergiej Bondarczuk (Pierre), Wiaczesław Tichonow (Andrzej), Anatolij Ktorow (stary Bołkoński), Antonina Szuranowa (księżniczka Maria), Anastazja Wertińska (Liza), Mikołaj Tołkaczew (umierający Bezuchow), Mikołaj Trofimow (kapitan Tuszin), Oleg Jefriemow (Dołochow), Wiktor Stanicyn (Ilia Rostow)...

W końcu drobna uwaga na marginesie przeczytanych ocen. Oczywiście film Bondarczuka jest „rosyjski", ale z tą „rosyjską duszą" dostrzeżoną przez niektórych recenzentów w salonach petersburskich, gdzie mówiło się wyłącznie po francusku, to lekka przesada. Moskwa — co innego. W ogóle cały dom Rostowów. Film tę różnicę uwydatnił.

(Dokończenie ze str. 3)

czyć z ciekawą inscenizacją „Pluskwy" Majakowskiego. Działało też kilka tradycyjnych zespołików dramatycznych przy rożnych uczelniach. Rozhin jeszcze jako nie student trafił do estrady poetyckiej przy UMCS, którą prowadziła aktorka Teatru Osterwy Zofia Bajuk. Wspólnie wyreżyserowali „Wieczór poezji murzyńskiej". W następnym roku Rozhin rozpoczyna studia polonistyczne na UMCS, nie rezygnując przy tym z pracy aktora-lalkarza; wkrótce zdaje eksternistyczny egzamin aktorski. Zawodowym aktorem w teatrze lalkowym pozostawał aż do obecnego roku, jednocześnie kończąc polonistykę, grając w kabarecie „Czart", tworząc 16 premier „Gongu-2" i na koniec pracując jako kierownik Teatru Akademickiego UMCS. Tutaj nie można pominąć faktu, że i dyrekcja Teatru Lalki i Aktora i władze uczelni zawsze szły na rękę aktorowi-studentowi, aby mógł godzić pracę zawodową z nauką i działalnością społeczną.

Na razie jednak jest początek roku akademickiego 1961—62. Zbliża się uroczysta inauguracja. Należałoby ją uświetnić również słowem poetyckim. Na pierwszych latach polonistyki studiuje grupa młodych ludzi, którzy związani są z ruchem recytatorskim poza uczelnią, większość z nich próbowała dostać się kiedyś na studia aktorskie. Pod kierownictwem Rozhina przygotowują poetycką składankę estradową — „Ildefons i inni". Ci pierwsi, to Ewa Benesz, Barbara Michałowska, Andrzej Jóźwicki, Piotr Suchora. Większość pozostanie w zespole do dzisiaj.

Stało się już niemal prawidłowością, że wszystkie ciekawsze teatry studenckie startowały od wieczoru poezji Gałczyńskiego. W historii „Gongu" również po raz pierwszy przemówił z estrady Gałczyński. Po pierwszym programie, mając zaczątek zespołu, Rozhin wiąże się z ZMS-em, zakłada teatrzyk „Gong 7.30". Próby odbywają się w klubie ZMS w dzielnicy zachodniej, powstaje program poetycki „Leśne wspomnienia". Znowu składanka, zbiorowy występ poszczególnych recytatorów. Ale teatrzyk wyróżnia się już jednym: pracuje o własnych siłach, nie korzysta z pomocy zawodowego instruktora. Był Gałczyński, był moment zainteresowania się historią najnowszą, czas więc na okres buntu, „filozofię, intelektualizm i egzystencjalizm". Toteż następny program nosi tytuł „Nostalgia", a aktorzy w czarnych (oczywiście) trykotach szargają wszelkie świętości przy pomocy tekstu jednego ze studenckich literatów. „Nostalgia" upamiętniła się dwoma faktami: przybyciem do zespołu młodego muzyka Janusza Pilarskiego, który odtąd będzie stale komponował dla „Gongu" oraz... burzliwą dyskusją z przedstawicielem wydziału kultury na tematy filozoficzno-światopoglądowe. Nie wydaje się jednak, żeby to właśnie jego argumenty wyciągnęły zespół z czeluści rozpaczy i „nieprzystosowania". Po prostu minął kolejny etap rozwoju, a w dodatku zespół odkrył i zachwycił się poezją Błoka, powstał przeto program pt. „Dwunastu" z wierszami Błoka i Majakowskiego oraz tekstami Johna Reeda.

Pasja do teatru czyli Rozhin i inni

Chyba od tego właśnie momentu zaczyna się kształtować oblicze „Gongu". Teatrzyk penetruje regiony poezji, wydobywa teksty trudne, autorów rzadko branych na warsztat przez przeciętne zespoły studenckie. Przykładem inscenizacja „Próby pokazania pewnej kolacji głów w Paryżu we Francji" Jacques Preverta, zarazem zerwanie z koncepcją estrady poetyckiej i pierwsza propozycja teatralna. Spektakl idzie w dekoracjach i kostiumach, poważną rolę odgrywa muzyka. Przedstawienia odbywają się już na własnej scenie, we własnej sali, w nowo wybudowanej „Chatce Zaka". Inny program, „Jazz i poezja", był wynikiem odkrycia wierszy współczesnych poetów zachodnich pisanych „pod" utwory jazzowe.

Teatr przechodzi pod patronat ZSP, zmienia nazwę na „Gong-2". Na I Międzynarodowy Festiwal Teatrów Studenckich w Warszawie wyjeżdża z programem „Twój powszedni morderca" opartym na tekstach Marianny Alcoforado, Louis Aragona i Wiktora Woroszylskiego. Tam zostaje „odkryty", zdobywa jedną z nagród, zaś biorąca udział w przedstawieniu Anna Węgłowska — wyróżnienie jury za grę aktorską.

Tutaj zamyka się drugi okres działalności „Gongu" — okres teatrzyku poezji. Wkrótce zostaje oddana do użytku wielka scena w Chatce Zaka, a Rozhin prezentuje widowisko słowno-muzyczne „Pieśni i songi pana Brechta", którym dowodzi, że on i jego aktorzy potrafią sobie dać radę z przestrzenią, scenami masowymi i całą skomplikowaną mechaniką „prawdziwego" teatru. Sukces lubelski potwierdza jeszcze entuzjazm widowni podczas tournée po Związku Radzieckim. Pięcioletni okres istnienia teatru zamyka polska premiera „Elżbiety Bam" Daniela Charmsa. Ostatnio Teatr Akademicki UMCS „Gong-2" wystąpił z widowiskiem „Za! (Kronika Dni Rewolucji)", w którym wykorzystano teksty plakatów, gazet i listów z okresu Rewolucji Październikowej oraz rewolucyjne piosenki zebrane podczas ubiegłorocznego pobytu w ZSRR.

*

Teatr posiada dzisiaj stałego scenografa, kierownika literackiego i muzycznego, drukuje z okazji każdej premiery afisze, wydaje kilkustronicowe programy. W ubiegłym roku Rozhin zorganizował studium teatralne, w którym prowadzone były m. in. ćwiczenia dykcyjne, emisji głosu, szermierka. Myślił o wprowadzeniu zajęć teoretycznych — na przeszkodzie stanął brak funduszów. Teatr jest bowiem na własnym rozrachunku i środki na utrzymanie czerpie z tego co sam zarobi.

Utrzymanie dyscypliny w trzydziestoosobowym zespole studenckim jest nie lada sztuką. Premiery odbywają się często w odstępach dwumiesięcznych, próby — dwa razy w tygodniu, od ósmej do dwunastej w nocy; w okresie przedpremierowym — codziennie. Wszystkie przedstawienia odznaczają się precyzją, dopracowaniem przez reżysera i aktorów każdego szczegółu roli. A przecież wszyscy prawie członkowie zespołu to ludzie, mający na głowie zajęcia uniwersyteckie, egzaminy. Pasja do teatru, zgoda, ale również uznanie autorytetu jednostki kierowniczej i zaufanie do celowości jej poczynań pozwalają zespołowi na podejmowanie stałego, wielkiego wysiłku.

Mirosław Derecki

Polacy i Słowacy w Smolenicach

JACEK KOLBUSZEWSKI

ZAMEK w Smolenicach postawił na wspaniałe z dołu widocznym miejscu, na stoku Małych Karpat, w roku 1881 graf Palffy. Nie przypuszczał też zapewne nigdy, że jego zamczysko, utrzymane dosyć konsekwentnie w pseudorenesansowym stylu stanie się kiedyś własnością Słowackiej Akademii Nauk. Wyznaczyła ona luksusowemu budynkowi funkcję, o jakiej węgierskiemu magnatowi nawet się zapewne nie śniło: stał się miejscem zjazdów i konferencji naukowych, miejscem tym może idealnej nadającym się do takich właśnie celów, że doskonale odizolowanym od wielkomiejskiego gwaru błyskawicznie rozrastającej się Bratysławy, a wskutek tego gwarantującym niezbędne na wszelkich tego typu koprezach naukowych pełne skupienie.

W tej właśnie smolenickiej uroczej scenerii, na tle jesiennymi kolorami rozbarwionych Małych Karpat, odbyła się w październiku br. urządzona staraniem Instytutu Literatur Światowych Słowackiej Akademii Nauk — a mówiąc personalnie prof. dr M. Bakoša, oraz dr J. Hvížda — konferencja naukowa historyków i teoretyków literatury z Polski i Słowacji, ale przy udziale uczonych przybyłych również z NRD i Jugosławii, poświęcona kontaktom literackim słowacko-polskim i polsko-słowackim. Warto chociaż pobieżnie zapoznać społeczeństwo polskie z jej rezultatami i osiągnięciami chociażby z tego względu, że była to pierwsza tego typu impreza naukowa. Ale to właśnie spowodowało, że choć problematyka przedstawionych referatów była i bogata, i zróżnicowana, ich poziom zaś zdecydowanie wysoki, to jednak całokształtu zagadnień związków literackich Słowaków i Polaków w przeszłości i współczesności wyczerpać w ramach obrad się nie dało. By tedy zasygnalizować brak główny, godzi się choć wspomnieć o tym, że całkowitym milczeniem pominięty został temat „Janosikowy", mający równie przecie bogate tradycje i w słowackiej, i w polskiej literaturze. Nie stało się jednak z powodu tego nieszczęście. Bowiem jednym z trwałych owoców konferencji było uściślenie wzajemnej współpracy historyków literatury. Można więc przypuszczać, że za lat kilka urządzona zostanie kolejna konferencja tego typu, a wówczas, być może, ów temat zostanie szeroko uwzględniony.

Bogaty dorobek konferencji uprzytomnił przede wszystkim to, z czego niejednokrotnie w Polsce nie zdajemy sobie sprawy, że kontakty literackie między Polakami i Słowakami miały charakter dwustronny, że zagadnieniem interesującym jest nie tylko rozpatrzenie udziału literatury polskiej w budowaniu słowackiej kultury literackiej, ale że godne uwagi jest także bliższe przyjrzenie się polskim zainteresowaniom dla kraju, kultury i literatury Słowacji. Nie będę się tu rozwodził nad osiągnięciami konferencji w dziedzinie teorii literatury — a ograniczę się jedynie do wskazania, że jednym z głównych tematów stały się problemy teorii i praktyki przekładu. Szczególnie doniosłe w tej mierze znaczenie miało wystąpienie dr Z. Hierowskiego, który, przeprowadziwszy analizę wybranych poezji przełożonych z języka słowackiego na polski, wykazał niedostatki, jakie niestety charakteryzują nasz dorobek w tej dziedzinie.

Jeśli idzie natomiast o zagadnienia historyczno-literackie, to podkreślić należy przede wszystkim fakt, że referaty ujęły szeroki zakres czasowy, od literatury okresu romantycznego aż po działalność słowackiej i polskiej awangardy poetyckiej. Przedstawione zostały więc echa, jakimi odbiło się w Polsce przed rokiem 1848 słowackie odrodzenie narodowe, ukazane zostały wpływy poezji Mickiewicza na niektórych bohaterów poezji L. Štura (prof. dr J. Magnuszewski), ukazany został wpływ twórczości A. Fredry na ukształtowanie się początków słowackiego dramatu (prof. dr J. Sadlak). A przecież to nie wszystko. Epoce końca XIX i początku XX wieku poświęcone zostały dwa referaty: H. Ivaničkowej z Bratysławy: „Model inteligenta w polskiej i słowackiej literaturze końca XIX wieku", oraz doc. dr M. Bobrownickiej z Krakowa ukazujący typologiczne związki słowackiego i polskiego symbolizmu. Jednym natomiast z centralnych momentów zainteresowań konferencji stały się problemy literatury okresu dwudziestolecia międzywojennego. Tu wymienić trzeba przynajmniej referaty A. Piotrowskiego („Feliks Gwiżdż i literatura słowacka"), oraz w nienagannym języku słowackim podany referat D. Abrahamowicz (Kraków) na temat recepcji literatury polskiej w Słowacji.

Gdzie jak gdzie, ale właśnie na łamach „Kameny" szczególną uwagę warto poświęcić dwu referatom, związanym z tym właśnie czasopismem. Mam tu na myśli przede wszystkim niezmiernie elegancko pod względem formalnym podany referat prof. dr J. Starnawskiego: „Kamena" jako propagator słowackiej kultury w Polsce". Profesor Starnawski w wystąpieniu swoim nie ograniczył się tylko do przedstawienia tych faktów, które każą przypisać „Kamenie" rolę pisma zasłużonego w dziele popularyzacji słowackiej kultury w Polsce, ale omawiając poszczególne przejawy tego zainteresowania — jak na przykład artykuły A. Madeja i S. Mečiara — informacje materiałowe opatrzył głębokimi komentarzami, akcentując w zakończeniu dużą rolę pisma w tej dziedzinie, tak dla środowiska lubelskiego jak i ogólnopolskiego. Z „kręgiem" Kameny związany był również referat prof. dr J. Stidzińskiego dotyczący recepcji twórczości poetyckiej Jana Smreka w Polsce, i tu wyraźnie podkreślono, że i w tej mierze lubelskie czasopismo odegrało rolę czołową.

Kontakty literackie i kulturalne Polaków i Słowaków nie zawsze układały się dobrze. Trzeba sobie uprzytomnić uczciwie ten fakt, że były między nami tak okresy doskonałej współpracy, jak i okresy tarć i sadraźnień. I o jednych i o drugich mówiło się w Smolenicach w sposób obiektywny i spokojny. Atmosfera rzeczowej współpracy i rozsądnej a utrzymanej na wysokim poziomie dyskusji (uwagę zwracały wystąpienia prof. dr K. Krejčiego i prof. dr Živanovića) pozwala na wyrażenie nadziei, że spora jeszcze ilość problemów z tego okresu doczeka się w niedługim czasie równie obiektywnego, rzeczowego i naukowego rozstrzygnięcia. Znaczenia konferencji w Smolenicach upatrywać jednak w tym tylko aspekcie nie można. Trzeba bowiem zdać sobie sprawę z tego, iż uprzytomniła ona konieczność dźwignięcia z przejściowego retemnila ona konieczność dźwignięcia z przejściowego regresu polskiej słowacystyki, że uprzytomniła nam ona tę gorzką prawdę, iż nasi sąsiedzi z południowej strony Tatr wiedzą o nas dużo więcej, niż my wiemy o nich. Podajmy: znaczenia owej konferencji upatrywać trzeba również i w tym, że otworzyła ona nowe i wyraźne perspektywy przed polską słowacystyką. Niech nam wolno będzie wierzyć, że ta perspektywa nie zostanie zatracona.

Listy do KAMENY

„Kupią nie kupią pomarzyć wolno"

W numerze z 13 IX br. waszego sympatycznego pisma przeczytałam artykuł „Kupią, nie kupią, pomarzyć wolno". Pozwolę sobie zauważyć, że do pisania o wykonywaniu programu języka polskiego w szkole średniej nie wystarczy znawstwo literatury pięknej (wraz z teorią). Niezbędna jest znajomość młodzieży, jej psychiki, rech umysłowych i moralnych, a zatem wnikliwa znajomość środowisk, jakie je kształtują. Nie można brać pod uwagę jedynie garstki elity z wielkomiejskich szkół, trzeba widzieć całą młodzież z wsi i miasteczek. Ponadto niezbędne jest wtajemniczenie w codzienny trud nauczyciela związany z próbą realizowania programu. Co byście powiedzieli, gdyby mnie, polonistce z wykształceniem i długoletniej nauczycielce liceów w małych miastach, udało się opublikować artykuł zawierający marzenia o budowie mostów, czarujące pomysły o tym, jakich używać metod, z jakich korzystać materiałów? Czy jakiegoś inżyniera szlag by nie trafił po tej lekturze? Nowy program nie do marzeń pobudza, ale do myślenia. Jeśli artykuł nie jest rzeczą przypadku, lecz świadczy o kulcie niekompetencji, wyrażam ubolewanie i proszę: nie narażajcie naszych nerwów na tak ciężką próbę. Niech sobie ktoś pomarzy o pomarańczowym słońcu z rogami, ale czy to koniecznie trzeba publikować?

Pozdrowienia
NAUCZYCIELKA z Z.
(Nazwisko i adres znane redakcji)

OD REDAKCJI: List udostępniliśmy autorowi artykułu, który — zgodnie z przyjętymi zwyczajami — odpowie w następnym numerze.

„POLONISTA W NOWYM LICEUM"

Nareszcie ktoś napisał o nauczaniu literatury w liceach artykuł rozsądny i wyważony, nie kryjący przy tym trudnej pozycji polonistów w hierarchii wewnątrzszkolnej. W zakończeniu p. Buksiński sugerował: „Sądy wyrażone w tym artykule nie są tylko moją indywidualną własnością. Podobnie myśli poważna część polonistów licealnych". Racja, do nich właśnie i ja należę! Oczekując na realizację postulatów p. Buksińskiego, pozdrawiam serdecznie.

WŁADYSŁAW ROSIAKOWSKI
Rzeszów

„NORA" MECENASEM

Pisząc do was mam na celu publiczne pochwalenie kierownictwa lubelskiego klubu „Nora", który do niedawna spełniał rolę łącznika pomiędzy różnymi grupami twórców, bratającymi się tam w rytmie ożywionej wymiany poglądów. Obecnie „Nora" znacznie wzbogaciła swoje formy integracji i reprezentacji samorodnych talentów, stając się odmianą francuskich „Salonów niezależnych" (malarzy). Oto przez dłuższy czas pokazywał tam swoje cenne — dla znawców, oczywiście — prace pewien młody człowiek szeroko znany w różnych sferach lubelskiej społeczności. Odwaga cywilno - artystyczna tego wystawcy zasługuje na uwagę i szacunek choćby z tego względu, że nie jest on członkiem żadnego związku twórczego, a jednak ujawnia się publicznie, nie bacząc na zawiść plastyków ze Związku Polskich Artystów Plastyków. Cieszę się niezmiernie z tej życzliwości w stosunku do młodych i ambitnych artystów, jaką wykazuje ostatnio „Nora", organizująca także wieczorynki poetyckie, „niezależnych". Po Domu Technika przybył nam jeszcze jeden bezinteresowny mecenas.

Pozdrawiam
JAN HARDY
Lublin

POTRZEBNA RESTAURACJA

Nie wiem, czy dobrze adresuję ten list, czy nie powinienem go skierować raczej do LZG i zarządu LSM. Wierzę jednak, że prasa to potęga. Chodzi o to, że w tak wielkich skupiskach ludzkich, jakimi są osiedla spółdzielni mieszkaniowej LSM, już dawno powinna być przynajmniej jedna duża restauracja — oczywiście, bezalkoholowa. Czynny teraz skromny bar gastronomiczny, mieszczący się w niewielkim lokalu, w minimalnym tylko stopniu zaspokaja potrzeby mieszkańców osiedla im. A. Mickiewicza. A poza tym coraz częściej kręcą się w nim podchmieleni osobnicy (piwo?).

Z poważaniem
W. J.
(nazwisko i adres znane redakcji)

NAJLEPSZĄ FORMĄ TERMINOWEGO OTRZYMYWANIA „KAMENY" JEST PRENUMERATA

od BIEBRZY po BIESZCZADY

BIAŁYSTOK

● Z okazji obchodów 30 rocznicy Rewolucji Październikowej ponad czterdzieści zespołów estradowych z Białostocczyzny przygotowało okolicznościowe programy. Zespół „Klubu Siedmiu" został wyróżniony na Ogólnopolskim Przeglądzie Zespołów Piosenki Radzieckiej.

● W Białymstoku przebywali dwaj radzieccy naukowcy i krytycy literaccy: Iwan Kuźmiczow i Andriej Zacharkin. Wzięli oni m.in. udział w konferencji nauczycieli języka rosyjskiego zorganizowanej przez Zarząd Wojewódzki TPPR i Okręgowy Ośrodek Metodyczny.

● Książka radziecka cieszy się na Białostocczyźnie coraz większym zainteresowaniem. W 1965 r. kupiono tutaj wydawnictw radzieckich za 300 tys. zł, w r. 1966 — za 535 tys. zł. Księgarze przewidują, iż w roku bieżącym wartość sprzedanych książek osiągnie kwotę 720 tys. zł.

● W Białymstoku odbył się recital pianistki radzieckiej Tamilli Machmudowej. Od 1955 r. artystka występuje w Anglii, Belgii, Danii, na Węgrzech, w Indii i Szwajcarii. Tamilla Machmudowa kształciła się w Konserwatorium Moskiewskim pod kierunkiem prof. Jakuba Zaka.

● Tradycją już stały się doroczne wystawy amatorskiej fotografii artystycznej organizowane przez Białostockie Towarzystwo Fotograficzne i Wojewódzką Komisję Zw. Zaw. Wystawa, obrazująca dorobek fotoamatorów w r. 1967, ma być przeglądem najszerszym z dotychczasowych. M.in. planuje się wydanie obszernego katalogu. Prace o formacie 18 × 24 (kolorowe) oraz 30 × 40 cm wraz z (czarno-białej należy nadsyłać do 20 grudnia pod adresem Białostockiego Towarzystwa Fotograficznego, Białystok, skr. poczt. 132.

KIELCE

● W budynku Teatru im. Stefana Żeromskiego Biuro Wystaw Artystycznych zorganizowało wystawę prac kieleckich plastyków. Tematyka związana z Wielką Rewolucją Październikową.

● Jedenastowieczne grodzisko w Wiślicy zostanie zrekonstruowane. Plan zagospodarowania grodziska opracowuje dr Majdecki z Politechniki Warszawskiej. Kielecczyzna wzbogaci się o jeszcze jedną atrakcję turystyczną.

● Teatr kielecki przygotowuje się do wystawienia „Królewskich łowów", sztuki muzycznej opartej na dziele Wojciecha Bogusławskiego „Henryk VI na łowach". Autorami są Jerzy Ukleja i Ryszard Smożewski. Reżyseria i scenografia — Uklei.

● Od przyszłego roku rozpoczną się prace związane z poważną rozbudową uzdrowiska w Busku-Zdroju. M.in. zostanie wzniesiony zakład rehabilitacyjny dla dorosłych. Będzie on posiadał basen kryty, basen do masaży podwodnych oraz salę gimnastyczną. Przepustowość zakładu — ok. 500 osób dziennie.

LUBLIN

● W Klubie ZZPKPiR „Nora", na uroczystej akademii z okazji 50 rocznicy Wielkiej Rewolucji Październikowej, wiceprzewodniczący PMRN Jerzy Lichodziejewski wręczył medale 650-lecia Lublina zasłużonym dla miasta dziennikarzom. Otrzymali je: Jerzy Turzański i Tadeusz Gański z „Kuriera Lubelskiego", Marian Wawrzycki, Józef Porębski, Olga Gancarz i Józef Lis ze „Sztandaru Ludu", Michał Skalenajdo, Tadeusz Tluczkiewicz i Janusz Danielak z Lubelskiej Rozgłośni „Polskiego Radia", Franciszek Malinowski i Stefan Ziemnicki z PAP, Tadeusz Gwardak z Lubelskiego Wydawnictwa Prasowego, Mieczysław Cap — przedstawiciel „Głosu Pracy", Henryk Szych — przedstawiciel Telewizji oraz Jerzy Dostatni, Marek Adam Jaworski i Romuald Wiśniewski z „Kameny". Gratulujemy.

● Przedstawiciele lubelskich i białostockich władz miejskich podpisali umowę o wzajemnej współpracy w dziedzinie kultury i sportu. M.in. Białystok będzie współdziałał z Lublinem w zakresie organizacji konkursów literackich „O laur Józefa Czechowicza", przewiduje się wymianę wystaw plastycznych, zespołów artystycznych itp.

● W Zamościu odbyła się szósta już z kolei uroczysta inauguracja nowego roku akademickiego w Studium Zaocznym UMCS. 23 absolwentom Studium wręczono dyplomy ukończenia nauki. Obecnie studiuje tutaj 250 osób.

● W Szczebrzeszynie otwarto pierwszy na Lubelszczyźnie uniwersytet kultury. W bieżącym sezonie powstanie jeszcze 40 takich uniwersytetów w miasteczkach i wsiach województwa. Organizator — Towarzystwo Wiedzy Powszechnej. Zajęcia rozłożone są na trzy lata. Program zajęć obejmuje wykłady z zakresu nauki o społeczeństwie, filozofii, polityki, historii sztuki, literatury, teatru.

● Przy Biurze Wystaw Artystycznych otwarto klub „Formy". Znajduje się tu także czytelnia i biblioteka zaopatrzona w wydawnictwa traktujące o sztukach plastycznych. Otwarcie klubu zbiegło się z otwarciem wystawy malarstwa i rysunku artysty kubańskiego — Servando Cabrera Moreno.

RZESZÓW

● W Wydawnictwie Prasowym „Nowiny Rzeszowskie" odbyła się uroczystość wręczenia przodującym pracownikom Odznaki Honorowej Związku Zawodowego Pracowników Książki, Prasy i Radia. Złotą Odznakę otrzymali Józefa Aleksandrowicz, Srebrną — Franciszek Bartnik, Jan Chodziński i Witold Szymczyk. Gratulujemy.

● Od początku listopada „Nowiny Rzeszowskie" zaczęły wychodzić w nowym, zwiększonym formacie. Wiąże się to z oddaniem do użytku kombinatu poligraficznego. Kolegom rzeszowskim życzymy jeszcze większych osiągnięć w pracy.

● Nakładem Wydawnictwa Literackiego ukazał się II tom „Rocznika Sanockiego" za 1967 r. Ponad 400 stron licząca publikacja zawiera szereg interesujących materiałów z dziedziny historii, historii najnowszej oraz życia kulturalnego Sanoka i okolic.

● W Świlczy spłonął zabytkowy kościół drewniany z 1626 r. zbudowany przez Mikołaja Spytka Ligęzę. Spłonęła też zabytkowa XVIII-wieczna dzwonnica. Pożar spowodowały dzieci. Straty wynoszą ok. 250 tys. zł, nie licząc wartości zabytkowej.

● Podczas prac zabezpieczeniowych i konserwatorskich w Jarosławiu w obrębie zabytkowego rynku odkryto dalsze korytarze podziemne. Warto dodać, że wyżej wspomniane prace prowadzi się w Jarosławiu już od pięciu lat. Dotąd zabezpieczono ponad dwadzieścia budynków — niektóre z nich pochodzą z XVI w.

Pierwszy jubileusz konkursu im. H. Wieniawskiego

4 LISTOPADA rozpoczął się w Poznaniu V Międzynarodowy Konkurs Skrzypcowy im. H. Wieniawskiego. W imprezie uczestniczyło 21 młodych skrzypków z 6 państw: Bułgarii, Czechosłowacji, Francji, Jugosławii, Polski i ZSRR.

Regulamin konkursu pozwala na start skrzypkom, którzy nie ukończyli 30 roku życia. Każdy z kandydatów musi obowiązkowo wykonać w pierwszym etapie część Sonaty C-dur J. S. Bacha i jedną część z dwóch koncertów (d-moll lub fis-moll) Henryka Wieniawskiego wybranych drogą losowania. W II etapie kandydaci mają do wyboru utwory Szymanowskiego, Paganiniego, Wieniawskiego, Czajkowskiego i kilku kompozytorów współczesnych m.in. Grażyny Bacewiczówny.

W III etapie, wykonywanym z towarzyszeniem orkiestry symfonicznej, finaliści grają tę część Koncertu Wieniawskiego, której nie grali w I etapie oraz jeden z dwóch koncertów Szmanowskiego (do wyboru).

Historia konkursu, mającego na celu upowszechnienie twórczości Wieniawskiego i Szymanowskiego, sięga lat trzydziestych bież. stulecia. Wtedy właśnie Adam Wieniawski — bratanek wielkiego skrzypka, ówczesny dyrektor Wyższej Szkoły Muzycznej im. Fr. Chopina i Warszawskiego Towarzystwa Muzycznego, zainicjował uczczenie setnej rocznicy urodzin Henryka Wieniawskiego urządzeniem międzynarodowego konkursu skrzypcowego.

Konkurs ten odbył się w sali Filharmonii Warszawskiej w marcu 1935 r. Uczestniczyło w nim 55 skrzypków z 16 państw. Konkurs odkrył takie talenty, jak Ginette Neveu, Dawid Ojstrach, Ida Haendel, Bronisław Gimpel. Prawie cała dziewiątka laureatów jeszcze do dzisiaj święci triumfy na estradach świata.

W Polsce Ludowej konkursy Wieniawskiego przeniesione zostały do Poznania. W roku 1952 odbył się w Poznaniu II Konkurs Skrzypcowy, którego laureatami zostali m.in. syn Dawida Ojstracha — Igor, jeden z najwybitniejszych skrzypków współczesnych, Wanda Wilkomirska, Marina Jaszwili i Olga Parchonienko (ZSRR) oraz Emil Kamilarow (Bułgaria).

W III Konkursie w roku 1957 uczestniczyło 45 skrzypków z 15 państw. Laureatami tego konkursu zostali m.in. Roza Fajn (ZSRR) i Sidney Harth (USA). W IV Konkursie zwyciężył skrzypek amerykański Charles Treger, a Polak Krzysztof Jakowicz zajął trzecie miejsce.

Konkursy zawsze gromadzą w Poznaniu plejadę wybitnych wirtuozów i pedagogów. Jurorami konkursów skrzypcowych byli dotychczas: Irena Dubiska, Eugenia Umińska, Grażyna Bacewiczówna, Tadeusz Wroński, Wacław Kochański, Henryk Neuhaus, Ede Zathureczky, André Gertler, Louis Persinger, Jean Fournier, Igor Bezrodny i in.

Ostatniemu sądowi konkursowemu przewodniczyła Grażyna Bacewiczówna, a w jury zasiadali m.in. Henri Gagnebin (Szwajcaria) — przewodniczący Federacji Międzynarodowych Konkursów Muzycznych w Genewie, do której należą konkursy im. H. Wieniawskiego, Jurij Jankielewicz — profesor konserwatorium w Moskwie i słynny wirtuoz polski stale zamieszkały w Meksyku — Henryk Szeryng.

RYSZARD PODLEWSKI

Notatki myśli-wego

Skąpy gospodarz najpierw częstuje alkoholem, aby gość następne dania widział — podwójnie.

*

Umiejętnie nie zajmując w żadnej sprawie własnego stanowiska — przechodził na coraz wyższe stanowiska — służbowe.

*

Paradoks: dla ładnych nóg — tracić głowę.

*

Spróbuj zrobić inteligentny wyraz twarzy, siedząc w fotelu dentystycznym.

*

Iluż to podnosi stopę, podnosząc dłoń na własność społeczną!?

*

Jeśli chodzi o wyżywienie, najtaniej jednak — żywić przekonanie.

*

Pseudonim to autorskie podziemie.

KSIĄŻKI NADESŁANE

CZYTELNIK

Barbara Biernacka — Wyznania ironiczne — Warszawa 1967, wydanie I.

Jurij German — Odpowiadam za wszystko, tłumaczyła Ema Dmowska, Warszawa 1967, wydanie I.

Pola Gojawiczyńska — Krata, Warszawa 1967, wydanie VII.

Joanna Kulmowa — Cykuta, Warszawa 1967, wydanie I.

Alojzy Sroga — „Święci?" — wspomnienia i refleksje, Warszawa 1967, wydanie I.

Antologia poezji rewolucyjnej 1917—1967 — Sierp i Młot Niepodległy, Warszawa 1967, wydanie I.

Michał Szołochow — Cichy Don, tom I, II, III, IV, tłumaczyli Wacław Rogowicz i Andrzej Stawar, Warszawa 1967, wydanie XI.

LUDOWA SPÓŁDZIELNIA WYDAWNICZA

Tadeusz Nowak — Poezje wybrane, wybór i wstęp autora, Warszawa 1967, wydanie I.

Stanisław Czernik — Autentyki, Warszawa 1967, wydanie I.

Rainer Maria Rilke — Poezje wybrane, przełożył, wyboru dokonał i przedmową opatrzył Mieczysław Jasturn, Warszawa 1967, wydanie I.

Józef Morton — Spowiedź, Warszawa 1967, wydanie IV.

WYDAWNICTWO LUBELSKIE

Lublin 1317—1967 — Praca zbiorowa pod redakcją Henryka Zinsa, Lublin 1967, wydanie I.

Rocznik Lubelski tom VI, Lublin 1967, wydanie I.

Zeszyty Majdanka cz. II. Wydawnictwo Lubelskie 1967

Z ZAGRANICY

Literature de notre temps. Paris, „Libella".

Modern Poets on Modern Poetry, edited by James Scully, Collins, The Fontana Library.

Amerikanische Erzähler — Short Stories. Eine Anthologie herausgegeben und eingeleitet von Helmut M. Braem, Stuttgart

Gedichte des Expressionismus — Stuttgart 1966.

The Concise Cambridge Bibliography of English Literature 600—1950 edited by George Watson, Cambridge 1965, second edition.

Opinions and Perspectives from The New York Times Book Review, edited and with an introduction by Francis Brown, Baltimore-Maryland.

Servando Cabrera Moreno — Oblicze — tusz.

Wizerunki świadomości

EGZOTYKA nazwiska Servando Cabrera Moreny znajduje minimalne tylko potwierdzenie w jego malarstwie i rysunkach, które artysta kubański pokazał w listopadzie w salach lubelskiego BWA. Owszem, wielka postać „Faworyty" o potężnych piersiach i silnych biodrach, umieszczona na czerwonym tle, swoim hieratyzmem i wewnętrzną dynamiką odwołuje się do dawnej sztuki amerykańskiej, kieruje się w stronę jakiejś panteistycznej mitologii, w której kobieta — bogini ustala prawa natury. Tak, „Zwycięstwo na wzgórzu", owa pulsująca kompozycja złożona ze znaków seksualnych, wyrysowanych na żółtej płaszczyźnie, przypomina symbole totemów. Także ekspresyjne głowy, te „Pocałunki" niesamowite pozwalają poprowadzić nić genetyczną do drapieżnej sztuki staromeksykańskiej. Na tym przecież urywają się refleksje odległej tradycji kulturowej w twórczości Moreny. Kubańczyk prezentuje się jako artysta współczesny, czuły na zmiany zachodzące w plastyce nowoczesnej.

Moreno maluje z rozmachem, rozrzutnie, jego wielkie płótna nabierają dzięki temu cech niekontrolowanego zapisu. W niektórych wszakże wypadkach jawią się jako abstrakcyjne niemal, skłębione kompozycje, choć ich ogólna formuła obrazowa wiąże się ze sztuką figuratywną.

Ludzie w obrazach Moreny są rozdarci, sprowadzeni do znaków, aluzji kształtów rzeczywistych, uczestniczą w nieokreślonym dramacie. Ale równocześnie widać, że sama problematyka malarska, formalna, interesuje artystę w sposób nieporównanie silniejszy. Piersi „Faworyty" czy „Kobiety szczęśliwej" zwracają uwagę jako symbole erotyczne, ale uderza dopiero ich konstrukcja, uzyskiwana przez nakładanie na siebie smug koloru o różnym natężeniu światła.

W sumie wypada jednak przyznać rację autorowi wstępu do katalogu wystawy, A. Saurze, który twierdzi, że aktualne malarstwo Moreny „posiada na ogół cechy bardziej uniwersalne i jego celem nie jest bezpośrednie wyrażanie tematów rasowych, historycznych lub folklorystycznych, lecz potrzeba przedstawienia nowego obrazu rzeczywistości poprzez wielką swobodę malarską".

Wobec uniwersalistycznych tendencji kultury współczesnej, sztuka bezpośrednio przedstawiająca rzeczywistość posiada ograniczone możliwości w przekazywaniu wartości ogólnoludzkich. Nowe pojmowanie sztuki uwidacznia się zresztą w całej młodej plastyce latynoamerykańskiej Trzydziestoletni Jose Louis Cuevas, świetny rysownik, „rozrywany" przez najznakomitsze galerie świata, a jednocześnie przywódca ideowy młodych Meksykańczyków, bezwzględnie ajakuje malarstwo wielkiej trójcy meksykańskiej — Jose Clemente Orozco, Diego Rivera, Davida Alfaro Siqueirosa — która łączyła w swoich monumentalnych freskach elementy indiańskiego folkloru z aktualną swego czasu w Meksyku problematyką społeczno-polityczną. Cuevas twierdzi, że podporządkowanie struktury formalnej obrazu tematyce narodowej okazało się potężnym hamulcem rozwoju sztuki nowoczesnej tego kraju.

IJK

»KAMENA«

Pismo lubelskiego oddziału Związku Literatów Polskich. Redaguje zespół: Konrad Bielski, Jerzy Dostatni (sekretarz redakcji), Marek Adam Jaworski (redaktor naczelny), Zygmunt Mańkowski, Zygmunt Mikulski — członkowie Kolegium Redakcyjnego, oraz: Mirosław Derecki (redaktor techniczny), Ireneusz J. Kamiński (kierownik działu publicystyki) i Romuald Wiśniewski.

Informacji w sprawie prenumeraty udzielają placówki pocztowe i Ruch. Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych i zastrzega sobie skróty.

Wydawca: Lubelskie Wydawnictwo Prasowe RSW PRASA, Lublin, Aleje Racławickie 1. Druk: Lubelskie Zakłady Graficzne im. PKWN, ul. Unicka 4. Adres redakcji: Lublin, ul. Graniczna 7 tel. 234-49 Korespondencję prosimy kierować na adres Lublin 1 skrytka pocztowa 131

Zam. 3814. 7.XI.67. P-4

Z ŻYCIA WZIĘTE

Końskie wakacje

W WARSZAWIE mieliśmy jeszcze jeden proces, którego epilog przypomniał starą anegdotę o cyganie i kowalu. Jeden zawinił, drugiego powiesili.

W Warszawie zawiniło Polskie Radio. Popełniło ono ciężkie przestępstwo, ponieważ nie uszanowało prawa autorskiego.

Detalicznie — jakby powiedział Wiech — rozeszło się o słuchowisko dla dzieci pt. „O koniu, który zrobił sobie wakacje". Słuchowisko zostało nadane przez radio 3-krotnie z zapowiedzią, że „audycję napisała Zofia Woźnicka według francuskiego opowiadania Anouk Milchberg". Do tej chwili wszystko było w porządku i prawo autorskie autorki słuchowiska „według francuskiego opowiadania" nie zostało narażone na szwank ani inne niebezpieczeństwo.

Radio jednak, niepomne na starą prawdę, że do trzech razy sztuka, postanowiło nadać słuchowisko po raz czwarty. Nie wiadomo, czy to dziatwa polska chciała nauczyć się audycji na pamięć, czy też ktoś puszczał co miesiąc utwór pani Woźnickiej dla dowcipu, bo chciał sprawdzić jak wiele osób słucha jeszcze radia w Polsce, jedno jest jednak zupełnie pewne: w radio padł absolutny rekord i ta sama audycja poszła na antenę po raz czwarty.

I to był błąd. Okazało się bowiem, że co najmniej jedna osoba słuchała w tym czasie radia. Była to autorka słuchowiska. Redakcja jednak nadając po raz czwarty audycję zmieniła nieco zapowiedź i poinformowała, że „słuchowisko opracowała Zofia Woźnicka według francuskiego opowiadania..." Autorka zwróciła się niezwłocznie do redakcji o sprostowanie tej pomyłki. Radio odmówiło twierdząc, że wyrażenia „napisałą" i „opracowała" (według francuskiego opowiadania) mają to samo znaczenie.

Sprawa trafiła do sądu, który stanął całkowicie po stronie autorki. Radio zostało zobowiązane do dwukrotnego zamieszczenia sprostowania oraz do nadania, jeszcze raz, tym razem po raz piąty!, słuchowiska „O koniu, który zrobił sobie wakacje", oczywiście wraz z właściwą zapowiedzią.

Istotnie, ten koń zrobił sobie prawdziwe wakacje w Polskim Radio. Jeśli tak dalej pójdzie, to kto wie, czy za parę miesięcy nie będziemy obchodzić jubileuszu nadania po raz dziesiąty audycji pani Woźnickiej.

Kowal zawinił, a sąd ukarał dzieci. Jedno jest pocieszające: skrzywdzony twórca zawsze znajdzie sprawiedliwość. Ochrona prawa autorskiego nie jest u nas czczym frazesem. Gorzej natomiast jest z ochroną prawa aktorskiego.

Niedawno Operetka Lubelska wystawiła „Cyrulika sewilskiego". W kilka dni po premierze w poważnym dzienniku warszawskim ukazała się notatka z entuzjazmem kwitująca to wydarzenie.

„Operetka lubelska zaskoczyła swoją publiczność niespodzianką nie lada — pisał dziennik. — Sięgnięto po włoski klejnot najprzedniejszego blasku i to klejnot operowy. Po „Cyrulika sewilskiego" Rossiniego. A ponieważ jest to opera, więc dla trzech ról głównych udało się zdobyć warszawską operową superklasę. Na czele tego tercetu występującego gościnnie stoi BERNARD ŁADYSZ... Śpiewak delektuje się swoją rolą, my razem z nim. Godnym arcymistrza partnerem jest FELIKS GAŁĘCKI. Urodziwy, postawny, zabawny, wyposażony w przepiękny, dźwięczny głos, daje postaci golibrody sewilskiego pełnię wyrazu, wdzięku i uroku. ZDZISŁAW NIKODEM pokonuje zwycięsko ogromne trudności wokalne, zawarte w koloraturowych ariach hrabiego Almaviva..."

Nadko się człowiekowi robi na duszy, gdy czyta te zachwyty nad super i hiperklasą. Ale wiadomo, że trzej goście mają partnerów, przebiegam więc tekst chcąc się dowiedzieć, kto dostąpił zaszczytu towarzyszenia warszawskim mistrzom i jak sobie w tym doborowym towarzystwie poradził.

Czytamy więc dalej:

„Ciężar ról pozostałych — Rosyny i doktora Bartolo — dźwigają na sobie wykonawcy miejscowi..."

I to wszystko. Po prostu miejscowi. Tubylcy. Całkowicie anonimowi. Ludzie bez imion i nazwisk. Gdyby nie śpiewali, można by powiedzieć, że byli zupełnie niemi. Dźwigali ciężar pozostałych ról — niech dźwigali. Co to kogo obchodzi?

W tym wypadku, niestety, nikt nie może zwrócić się do sądu z prośbą o wzięcie w obronę prawa aktorskiego. Specjalny wysłannik znanego dziennika może wymienić jedno nazwisko, a drugie przemilczeć. Aktor jest bezsilny. Zwłaszcza aktor miejscowy.

Ten głos, recenzenta, nie zabrzmiał zbyt czysto.

BAR

P.S. Uzupełniając warszawskiego recenzenta, a chodzi o red. Jacka Frühlinga i „Życie Warszawy" z 19.X.1967 r., informujemy, że „ciężar ról pozostałych dźwigają na sobie" Alicja Hortyńska i Jan Krzysiak („wykonawcy miejscowi"). **(RED.)**

MINUTA MYŚLENIA

Raz na 50

JEŚLI życie bieżące oderwie mnie na jakiś czas od lektury, mam zwyczaj przy sprzyjających warunkach owe zaległości pozmniejszać. I nawet nie wiedziałem, że tym razem natknę się na coś, co warte było zachodu przeglądania nieaktualnych numerów gazet. Wypłynął temat, o którym sądziłem, że na zawsze zostanie pod zielonym suknem, ale ledwie się wynurzywszy dał tam nura z powrotem.

W 43 numerze „Kultury" Tadeusz Lewandowski zamieścił artykuł „Mieszkać i wychowywać" traktujący o spółdzielczości mieszkaniowej. W rzędzie przytoczonych tam przykładów nowoczesności i funkcjonalności znalazło się osiedle LSM w Lublinie. W podobnym towarzystwie znajdowało się zresztą tak często, że poniższe uwagi będące obiektywnym uzupełnieniem zazwyczaj nie w pełni przedstawianego obrazu mogą wyglądać na wynikłe z pogoni za czczą oryginalnością. Tymczasem jeśli nawet uznamy, że na „słonecznym wzgórzu" usadowił się sam blask lubelskiej spółdzielczości mieszkaniowej, to nie możemy nie zauważyć, że usadowiło się tam również coś bliskiego rekordowi budowlanego partactwa. Tadeusz Lewandowski z odległości stolicy mógł tego nie zauważyć, zresztą nie pod tym kątem jego artykuł został pomyślany. Aczkolwiek używając postulat — mieszkać estetycznie i kulturalnie — powinien nie pominąć tego, co tej estetyce (a nie tylko jej, bo i funkcjonalności) przeszkadza. A oto kilka szczegółów w charakterze „dokumentacji technicznej" z własnych spostrzeżeń.

1) Przemoknięcie ściany na skutek deszczu. Powstała najpierw pleśń, potem grzyb. Okazało się, że ściana postawiona była z cegły „dziurawki" kładzionej otworami nie wzdłuż, ale w poprzek muru, izolacją od „dworu" był tylko tynk.

2) Luka między futryną okienną a ścianą. Błękitny przestwór można oglądać bezpośrednio, poza zasięgiem szyby.

3) Luka również między progiem a podłogą przedpokoju. Dwa centymetry luzu czekającego na — listwę? cement? dobry humor kładącego podłogę partacza?

4) Parapet okienny „na chodzie". Deskę można wsuwać i wysuwać, ponieważ zaprawa murarska jej nie trzyma.

5) Przewody do kaloryferów w tak precyzyjnie dopasowanych otworach, że poruszając rurę u siebie, poruszamy ją również u sąsiadów o piętro wyżej i niżej.

6) Listwa między podłogą a ścianą z niewiadomych powodów odchylona w rogu od linii prostej, a zbliżona do owalu. Kąt prosty oczywiście — w diabły.

7) Tynk wewnętrzny o superprocencie piachu. Przy lekkim uderzeniu odpada całymi płatami.

8) Drzwi od balkonu tak szczelne, że ciąg powietrza czuje się w drugim pokoju (przez drugie drzwi również zamknięte).

9) Kredens kuchenny wmontowany w ścianę przy niewielkim wysiłku można z niej wychylić.

10) O szczelności ścian świadczy, że kiedy pękają rury w łazience u sąsiada obok, woda zalewa naszą mieszkanie.

Oto skrócony wyciąg z indeksu staranności z jaką wykonano wiele mieszkań na „słonecznym wzgórzu". Można to wszystko przeważyć „argumentem", że i na takie mieszkania ludzie czekają po sześć lat. Ale jeśli się pięćdziesiąt razy to fotografuje, pokazuje zagranicznym wycieczkom, wymienia w rejestrze osiągnięć itd., itd., to jeden raz na tamte pięćdziesiąt należałoby wylać łyżkę dziegciu pod adresem budowlanych. Szczególnie, gdy się w artykułach omawia szczególiki i niuanse, sugerujące że zasadnicza podstawa jest w idealnym porządku.

Ijon

BIG-BEAT

Radom w ciągu doby

PANIE Redaktorze! Rocznik demograficzny ONZ informuje, że ludność świata powiększa się o 167 tysięcy dziennie. Jeśli Pan jest biegły w matematyce, może Pan przeliczyć sobie na godziny, minuty, sekundy... Owe sformułowanie „dziennie" rozumiem jako dobę, nie sądzę bowiem, aby noworodki nie przychodziły na świat nocą. Exemplum: moja skromna osoba, która ponoć pojawiła się na tym globie około godziny 22. Może właśnie dlatego tak trudno zasypiam przed północą?

167 tysięcy, a więc w ciągu jednej doby zaludnia się miasto wielkości Radomia, w ciągu półtorej — Lublina. Osiem dób wystarczy na zaludnienie Warszawy, a ok. miesiąca — Moskwy. Po kiego licha te ludziska tak się pchają? I czy właściwie warto rodzić się po to, aby na tej naszej ciasnej planecie przemęczyć się lat kilkadziesiąt zaledwie, a jak ktoś jest szczególnie pechowy to nawet kilka czy kilkanaście?

Mówi się o zamrożeniu zbrojeń, nikt jednak nie wysuwa propozycji zamrożenia ludzkości. No nie, nie tak na amen, ale powiedzmy na lat pięć. ONZ wydaje powszechny zakaz rodzenia się. Państwa-sygnatariusze układu uroczyście zobowiązują się nie dopuścić do powiększenia liczby swych obywateli. Jednocześnie zakazuje się umierania. Wobec dpornych będą stosowane sankcje karne z przywracaniem życia włącznie.

Piękny jest mój plan, prawda? Poddaję go pod powszechne głosowanie. Kto jest przeciw? Nie widzę. Kto wstrzymuje się od głosu? Nie dostrzegam. Mogę więc uważać, że plan został przyjęty jednomyślnie.

Nie wolno umierać. Automatycznie więc wygasają na świecie wszystkie wojny, starcia zbrojne, potyczki. Politycy wyjeżdżają na Rivierę czy do Złotych Piasków, wojskowi, aby jednak nie wyjść z wprawy, namiętnie biorą się do gry w szachy, brydża, a ci, którym starcza kondycji — zasilają drużyny piłki nożnej, boksu i hokeja na lodzie. Grabarze przekwalifikowują się na kursach budowy dróg, a zakłady wyrobu trumien zaczynają produkować wygodne tapczaniki i foteliki.

Trzeba być przygotowanym, że wszędzie wzrastą zapotrzebowanie na alkohol, papierosy, opium, samochody i inne artykuły bardziej czy mniej powszechnego użytku, które w normalnych warunkach przyśpieszają zejście z tego świata. Ponieważ jednak w najbliższych pięciu latach nikomu śmierć nie grozi, warto ów okres w należny sposób wykorzystać.

A zresztą po pięciu latach ONZ jest w stanie prolongować układ o zamrożeniu ludzkości na dalsze pięć lat. Można nawet na dłużej, osobiście nie mam nic przeciwko temu, moi wierni czytelnicy zapewne również.

Panie Redaktorze! Czy Pan sobie wyobraża, jak stanieje odwaga? Będziemy mogli ze spokojem pójść o północy do Parku Ludowego, do baru Litewskiego, śmiać się z piratów-kierowców, pokazywać język chuliganom, wymyślać od A do Z, czyli od autobusu do zajezdni. Nikt Panu głowy nie utnie, bo Pana głowa będzie pod międzynarodową ochroną.

Ale co? Pan nie wierzy, że taki piękny układ uda się kiedykolwiek przeforsować? Że jest on nierealny, sprzeczny z ustalonym porządkiem, etc, etc?

Hmm... Kilkanaście lat temu w pewnym kraju, nie tak znów daleko od Polski leżącym, objęto paragrafem karnym zdradę małżeńską. Nie przypominam sobie już dokładnie, ale ok. pół roku pozbawienia wolności groziło niewiernej małżonce czy małżonkowi. Gdyby tak między Bugiem a Odrą ustanowiono takie prawo, musielibyśmy wszystkie żłobki, przedszkola, szkoły, teatry, urzędy i wiele, wiele mieszkań prywatnych przekształcić w więzienia. Okazuje się jednak, że są kraje, które takich obaw nie mają. A więc i mój plan warto dokładnie przeanalizować.

Przeanalizować? Po co? Przecież już przeszedł w powszechnym głosowaniu. Na analizę będzie jeszcze sporo czasu. Rezerwuję sobie całą wieczność.

Jacek

FELIETON Z REZERWY

Panowie w Polskę!

W RZESZOWIE narzekają na gastronomię, co nikogo nie zdziwi, nawet jeśli nie zna tego miasta, bo na gastronomię narzeka się w całej Polsce. Rzeszowskie restauracje nie cieszyły się zresztą nigdy taką znakomitą sławą, jak np. Wierzbicki w Radomiu czy „Europa" w Lublinie. Dziś „Wierzbicki" nie nazywa się nawet Wierzbicki, a „Europa", mimo że szefem jej jest były kucharz osobisty Prezydenta i Marszałka Polski, zakasywana jest powoli przez inne zakłady, a nawet niektóre podmiejskie gospody GS. Jednak sława pozostała (może dzięki niezmienionej nazwie) i do „Europy" zachodzą chętnie smakosze z innych miejscowości przy okazji wizyty w Lublinie.

W Lublinie też narzekają na gastronomię, lecz przodująca pozycja „Europy" w stosunku do białostockiego „Cristaliu", kieleckiej restauracji w hotelu „Centralnym" czy gastronomii rzeszowskiej jest (dla ludzi, którzy dużo podróżują i stołują się w wielu zakładach i mają możność porównywania) wyraźna. Czymże może jednak zaimponować lokal kategorii „S", lubelska „Europa", lokalowi kat. II, barowi dietetycznemu „As" mieszczącemu się w Rzeszowie przy ul. Jagiellońskiej? Wziąłem pierwszy lepszy jadłospis z tego baru i policzyłem: było tam 78 pozycji! Dieta dla cierpiących na niedokwasotę, dieta na nadkwasotę, dieta wątrobowa, dieta nerkowa, potrawy poza dietą, dania jarskie, dodatki do II dań, obiad studencki i obiad opieki społecznej. A do tego jeszcze (oprócz tych 78) pozycje ogólne: ciastka, roztrzepaniec, wody gazowane, lecznicze i mineralne, ciastka paczkowane, czekolady i galanteria-czek (co zacz ten ostatni — nie wiem). Kelner zapytany o godz. 16 co z tego można dostać odpowiada: „wszystko". Może trafiłem na wyjątkowy dzień, lecz i tak jaka różnica z dietetyczną „Wisłą" w Lublinie, w której króluje kotlet schabowy i brizol wołowy, a ogólna liczba dań nie przekracza 15—20. Bar „As" nie zaspokoi wymagań wyrafinowanego smakosza, tak jak może zaspokoić „Europa". Lecz mimo starań niezmordowanego polskiego arcysmakosza nr 1, dr Przypkowskiego z Jędrzejowa, smakoszy mamy coraz mniej. Natomiast — co już jest w dużej mierze rezultatem działalności naszej uspołecznionej gastronomii — coraz więcej ludzi narzeka na dolegliwości przewodu pokarmowego i narządów trawiennych. Więc kto powinien otrzymać palmę pierwszeństwa za karmienie Polaków?

Niegdyś prosto z Katowic pojechałem do Białegostoku. Rozmawiałem tam z dyrektorem pewnego przedsiębiorstwa handlowego, mówiłem mu, że sklepy tego przedsiębiorstwa są dużo gorzej urządzone i zaopatrywane niż sklepy nawet w powiatowych miastach Śląska. „To zrozumiałe — odparł mi — jesteśmy dawną Polską B, jeszcze długo nie będziemy mogli się równać z rozwiniętymi regionami Polski".

„Jesteśmy dawną Polską B" — oto żelazne alibi, którym tłumaczą się w Lublinie, Rzeszowie, w Kielcach czy w Białymstoku ludzie winni niedociągnięć w kierowanym przez siebie przedsiębiorstwie, czy instytucji. Zgoda. Nie możemy się równać z przodującymi regionami w Polsce. Też zgoda. Ale istnieją możliwości wzajemnego porównywania osiągnięć i braków województw ze wschodniej części kraju. Jakżeż bowiem nie denerwować się, że coś mogą w Radomiu, a nie mogą w Przemyślu i odwrotnie. Irytuje to zwłaszcza wtedy, gdy chodzi o sprawy drobniejsze, nie wymagające większej fatygi i nakładu, a po prostu odrobiny pomyślunku i smykałki. W Lublinie nie można dostać żadnych win wytrawnych. W „Delikatesach" w Rzeszowie są w dowolnej ilości krajowe i zagraniczne. Bułgarskie, jugosłowiańskie, węgierskie, austriackie. W Lublinie strudzony przechodzień, obciążony siatką z zakupami, może wpaść na 5 minut do „Delikatesów" i napić się na stojąco znakomitej kawy z ekspresu, w Rzeszowie, jeśli chce kawy, musi wejść na drugie piętro do kawiarni nad „Delikatesami", rozebrać się w szatni, poszukać miejsca przy stoliku, a jeśli znajdzie, czekać na kelnerkę — razem murowane trzy kwadranse. W Rzeszowie czy Białymstoku człowiek chcący się napić wody mineralnej idzie do pijalni, kupuje butelkę lub szklankę, wypija i idzie dalej. W Lublinie wody na szklanki nie sprzedaje się, kto chce, musi kupić całą butelkę, ale w pijalni w Lublinie można usiąść sobie przy wygodnym stoliku i zamówić do tej wody kawę lub herbatę i ciastko, czego nie można w innych miastach. We wszystkich miastach są bary mleczne, we wszystkich samoobsługowe, lecz tylko w jednym Białymstoku odważono się postawić na ladzie bańki z mlekiem i kawą, konsument sam odkręca kurek i nalewa sobie do kubka czy talerza tyle, ile uważa za stosowne. W Lublinie człowiek, któremu niespodziewanie zwalą się wieczorem goście na głowę, może jeszcze do godziny 21 kupić w sklepie bochenek chleba, czy bułkę, podczas gdy w innych miastach naszych wschodnich województw nie uda mu się już taki zakup. Tylko, że ten chleb lubelski to zakalec w porównaniu np. z pieczywem produkowanym w Rzeszowie. W Lublinie dostać zwykły razowiec to sztuka (są na gniodzie, na mleku itp., lecz nie zwykłe), w Rzeszowie żytnie razowe pieczywo jest codziennie. W Lublinie w kilku sklepach zaledwie są kluchowate precle, w Rzeszowie w każdym prawie sklepie spożywczym sprzedają dużo smaczniejsze, choć nie droższe kruche „paluszki".

Radiowa para Fiorczak i Malinowski nie najlepszymi dowcipami spopularyzowała, a zarazem sparodiowała działalność referentów zaopatrzenia. Kto pokaże nam ludzi kierujących naszym handlem i gastronomią? Kim są, jacy są na co dzień, czym się zajmują, co ich interesuje i czy w ogóle ich coś interesuje? Może tylko śledzą na swoich stolkach, a jeśli już wstają, to tylko w celu udania się na odprawę do Warszawy? A że prowincji nie równać się ze stolicą, więc jeśli nawet coś tam widzieli, jedli czy kupowali dla siebie, nie może ich to wytrącać ze stanu błogiego samozadowolenia. I dlatego w Ełku są buty czarne, a w Zamościu wiśniowe, w Starachowicach małe rozmiary, w Sanoku duże. Ech, zdejmijcie te końskie klapki z oczu, panowie, i ruszcie w Polskę. Uczyć się od siebie nawzajem!

Maurycy Paliwoda

NOTY i notki

„SZTUKA PICIA WINA przeszła do archeologii" — stwierdza ze smętkiem Krzysztof Narutowicz w „Kierunkach" (nr 13). No i teraz wiemy. Że otrzymując zaproszenia na lizanie „kompki wina", co w praktyce zamienia się na złopanie wódy lub koniaku właściwie jesteśmy zapraszani na niezgłębione sympozja naukowe poświęcone archeologii.

CHYBA TRZEBA BĘDZIE ZAJRZEĆ do metryki, jak to naprawdę rzeczywiście. W nr 43 „Życia literackiego" na str. 13 czytamy: „Mieszkający stale w Londynie plastyk polski Jan Lewitt"... A na str. 29 tego samego numeru: „znany polski malarz zamieszkały w Londynie Jan le Witt"...

W DZIALE NOWOŚCI wydawniczych w nr 45 „Głosu Nauczycielskiego" książkę Moniki Warneńskiej „Śladami Mickiewicza" zaliczono do nowości z dziedziny sportu. Nie wiedzieliśmy dotychczas, że autor „Pana Tadeusza" był tyczkarzem lub bokserem. Chyba, że opisywanie łowienia mrówek to też sport ew. turystyka.

„ŻYWOTÓW ŚWIĘTYCH" przez ogłoszenie w „Za i przeciw" (nr 45) poszukuje p. Teofil Fisior z woj. kieleckiego. Publikowany serię telewizyjną oraz powieść o Tempierze, pojawiającą się w coraz to innych pismach. A z ciepłych jeszcze nowości — „Święci" Alojzego Sroga (chociaż rzecz o oficerach polityczno-wychowawczych).

Z OKAZJI URUCHOMIENIA w Rzeszowie nowej drukarni i znacznego powiększenia formatu, „Nowiny Rzeszowskie" zamieściły (nr. 284) obszerne sprawozdanie aż pod pięciopiętrowym tytułem. Tytuł ten uzupełniono cenną informacją: „Obsługa własna". A korespondenta PAP nie było czy co?

NA MARGINESIE WIZYTY plastyków, muzyków i literatów u marynarzy tygodnik „Bandera" (nr. 46) pisze m.in.: „niektórzy przekonali się, że choroba morska nie jest legendą... co ujawni się dopiero w którymś z ich dzieł". Wobec tego czekamy na kołysankę „Rejs do Rygi" i rzeźbę „W ofierze Neptunowi".

RECENZJE Z TRZECH KSIĄŻEK zamieścił Tadeusz Kijonka w nr 21 katowickich „Poglądów". Chodzi o wiersze A. Wonieścieńskiego, E. Winokurowa i M. Tanka. Ale Kijonka ani jednym słowem nie wspomniał o tych, którzy te wiersze przekładali. A nieco wyżej na tej samej stronie zamieszczono dwa wiersze poetów ukraińskich, drukując czcionkami bardziej widocznymi nazwisko tłumacza niż autorów. Skąd ta nierówność w traktowaniu tłumaczy „własnych" i „cudzych"?

W RECENZJI ZE SPECJALNEJ IMPREZY aktorów Operetki Lubelskiej ku czci 50 rocznicy Wielkiej Rewolucji Wiera Kurneluk („Sztandar Ludu" nr 268) w środku pisze: „Chór wspierty głosami takich solistów jak: (tu 9 nazwisk)... i kilku nowych, których nazwisk nie pamiętam". A po recenzji znajdujemy wykaz 28 aktorek i aktorów. Kto sobie przypomniał: redakcja czy autorka?

RÓŻNE MOŻNA MIEĆ ZDANIE o reportażu Janusza Rosika „Niedźwiedzie łapy" („Polityka" nr 41), można go nawet nazwać antyreportażem. Ale to nie znaczy, aby powtarzać wielokrotnie prostowaną nieprawdę o zbiorowych nadużyciach w kancelarii rejenta Bolesława Leśmiana. I aby przekazywać młodemu pokoleniu nieprawdę, że członek przedwojennej Akademii Literatury (był tu jeszcze przymiotnik — Polska) otrzymywał 500 zł rocznej pensji. Pensja bowiem wynosiła 1 900 złotych i to co miesiąc.

PISZĄC O PRZYGOTOWANIACH do zimy, rs stwierdza w „Kurierze Lubelskim" z 8 listopada: „Pracownicy zatrudnieni przy formowaniu wagonów, odśnieżaniu rozrządów torowych i pracach załadunkowych otrzymali ciepłe watowane ubrania, czapki z nausznikami i rękawice". Przysięgamy na komunikaty PIHM-u i własne doświadczenie, że do 13 listopada w obrębie dyrekcji lubelskiej PKP nie spadł jeszcze ani jeden płatek śniegu. Czyżby odśnieżano tory jeszcze „z poślizgu" z poprzedniej zimy?

POSTE-RESTANTE

Nazwa naszej rubryka Poste-Restante posiada znaczenie dosłowne: poczta zostająca, czyli te nadesłane do redakcji utwory, których — z prawdziwym żalem — nie mogliśmy zamieścić w numerze, ale które — z prawdziwą satysfakcją — wybraliśmy do publikacji w tej rubryce. Przypominamy, że w Poste-Restante nie płacimy honorarium.

H. N. z Biłgoraja pisze w liście do redakcji, że ma lat 16, a wiersze tworzy już od lat pięciu. *„Uprzejmie proszę* — stwierdza — *o zainteresowanie się moimi wierszami"*. Zainteresowaliśmy się. Oto wiersz pt.

ZDRADZONA

Przeklnę dzień,
w którym cię poznałam,
przeklnę tę chwilę,
gdy cię pokochałam.
Jak śmiesz nędzniku,
podnieść na mnie oczy.
Gdzie twoje słowo,
tyś honor przeoczył.
Nie kochasz,
więc dlaczego, miły,
wierność przyrzekałeś
Teraz swe źrenice,
krwią zemsty oblałeś,
za co ta zemsta,
za twą podłą zdradę.
Ja winnam mścić się,
to ja zemstę kładę
na wasze ciała,
twoje i kochanki.
Dosięgnie was zemsta
twojej pierwszej branki.
Zemsta, która płonie
miłością i gniewem.
Jak ujarzmić siebie,
teraz sama nie wiem.
Ujarzmi uczucie
zemsta popełniona.
Nie chcesz niej miłości,
śmierć cię czeka —
— konaj!

Henryk Sieńczak z Palecznicy k. Lubartowa pisze wysyłając do redakcji dwie fraszki: *„Wysyłam do Waszej Redakcji coś odmiennego mianowicie fraszki. Gdyby były dobre to proszę ich umieścić w tej zostającej rubryce Poste-Restante. Mógłbym wysłać ich więcej ale mnie nie chodzi o ilość tylko o jakość"*.

Drukujemy jedną fraszkę:

MINI A PRZYSZŁOŚĆ

Nie od razu Kraków zbudowali
Wszak poszło tyle — to i pójdzie dalej.
Może w przyszłości odnajdą dziewczyny
dla mini wdzianek też i cnotę mini.

Odpowiedzi redakcji

J. F. w Lublinie. „Bywanie" i „rosę" zatrzymujemy.

K. D. w Zielonej Górze. Pańskie sądy o „Kamenie" są dla nas b. przyjemne. Pańskie „teoretyczne" wywody o poezji traktują serio tę trudną sztukę. Natomiast Pańska wyobraźnia poetycka zadokumentowana w tekstach błądzi między romantyzmem a Młodą Polską, co dowodzi, że ten sposób widzenia świata przedostał się już do wyobraźni potocznej i nie trzeba dziś czytać młodego Słowackiego czy Tetmajera, by pisywać wiersze podobne, tyle że nieco jednak gorsze. Jest to zjawisko ciekawe dla socjologa, nas zainteresowało tylko ubocznie. Pozdrawiamy.

Z. T. w Międzyrzecu. „Chciałabym wiedzieć, czy mam pracować nad sobą, czy też przestać pisać?" — zapytuje Pani. W tym zdaniu dodaliśmy dwa przecinki i znak zapytania. A więc pracować, przede wszystkim nad interpunkcją, a niezależnie od tego: nad charakterem własnym, wykształceniem etc. Ale pisać — przestać zdecydowanie. To, co Pani zaprezentowała, jest piątą wodą po lekturach szkolnych. Jeszcze raz potwierdza się nasze zdanie, że w szkołach za mało miejsca poświęca się poezji współczesnej.

K. Z. T. w Kielcach. Niestety, ale oceną powieści już się nie zajmujemy. Od tego są wydawnictwa. Może prosi Pan swoje prace do Wydawnictwa Lubelskiego?

S. P. w Bydgoszczy. Pisze Pan w liście do redakcji: „Niniejsze wiersze można opatrywać ironicznymi uwagami tak jak czynią od wieków, można drukować w Poste-Restante i można nawet drukować w numerze". Można, ale po co? Tak pisali najnormalniejsi grafomani w drugiej połowie XIX wieku. Te „uśmiechy słońca", „klucze żurawi", „tenie bez końca", „żądzy wiry" nie są nawet wesołe. Po prostu nudzą.